

Oświęcim. Pamiętnik więźnia



HALINA KRAHELSKA

Oświęcim. Pamiętnik więźnia

Warszawa, kwiecień 1942

Pamiętnik ten napisał młody chłopak, ciężko chory po zwolnieniu z Oświęcimia, blisko rok temu. Impulsem do napisania go, podług świadectwa najbliższych, było przede wszystkim żarliwe powiązanie, ponad życie trwalsze, z pozostawionymi w obozie towarzyszami: w każdym dniu, po wiele razy powracał do nich myślą i zdawało mu się, że szczegółowe opisanie, utrwalenie wszystkich okoliczności obozowego męczeństwa jest obowiązkiem tego, który się wydostał, jakkolwiek nie miał żyć dłużej.

Z drugiej strony uważał za konieczne przedstawić różnorodny zespół więźniów Oświęcimia prawdziwie, tak jak jest, gdyż sądził, że społeczeństwo wie o tym niewiele, często też przedstawia sobie rzeczy inaczej, niż wyglądają.

Rozstając się z życiem w młodym wieku, umierał w przeświadczeniu, że inni przetrzymają, że właściwa Polakom psychiczna odporność i umiejętność koncentrowania woli zdecyduje na ogół o możliwości zniesienia srogiego męczeństwa.

Wkrótce po napisaniu pamiętnika (praca ta zajęła choremu parę miesięcy) — umarł.

I

Matka siedzi przy moim łóżku, w rękach przebiera jakąś robótkę (pewno sama nie wie jaką), ale co chwila patrzy na zegarek na przegubie ręki, by nie przeoczyć pory: lekarstwa albo posiłku. No i patrzy także na mnie... Spogląda raczej, usiłuje tylko spoglądać, bo nie chce mi dokuczyć przedłużonym, uporczywym patrzeniem.

Nie jestem już przecie *tam*; od tygodni już w domu; wyleguję się w łóżku, myty, karmiony, hodowany, poddany nieustannym zabiegom lekarskim, zastrzykom, wszelkim środkom ratunkowym. Ale ja sam — od pierwszego dnia — wewnętrznym czuciem wiem, że już nic ze mnie nie będzie, że choć nie skołałem pod bykowcem¹, pod butem, pod cegłą — jednak tu będę musiał umrzeć w czystym łóżku, obok doniczki z cudnym kwiatem, którą przyniosła miła dziewczyna, niezależnie od wszelkich wysiłków lekarskich i rodzicielskich.

Kiedy zaś po kilku dniach pobytu w domu usłyszałem ten wyrok z drugiego pokoju (urywane szepty między lekarzem i rodzicami), postanowiłem od razu, w tamtej chwili, napisać te swoje wspomnienia, napisać, utrwalić najważniejsze dla nas rzeczy, choćby to miało kosztować jak najwięcej wysiłku. Od tego też dnia prawie nic już nie opowiadam, nie chcę się wyczerpywać, piszę, piszę, musi mi starczyć na to sił.

Kiedy następnego dnia po owej zasłyszanej rozmowie zażądałem zeszytu i ołówka, matka spłoszyła się, zaniepokoiła, pochwyciła mnie za obie ręce:

— Synu! Po co teraz?... Dlaczego tak się osłabiać?... To nie na twoje dzisiejsze nerwy!.. Doktor kazał ci się oszczędzać...

Nie zdradziłem się, żem słyszał, co mówił doktor. Bałem się, że jeśli się zdradzę, otoczą mnie opieką i to taką, iż mój zamiar napisania tych wspomnień spełni na niczym. Udałem więc dobre samopoczucie za pomocą uśmiechu i spojrzenia i prosiłem, żeby matka zechciała mi dogodzić: to właśnie mnie uspokoi, jak będę się mógł wypisać, wydać z siebie to wszystko, co musiałem tam wchłonąć. Matka dała się przekonać i odtąd, gdy

¹bykowiec (daw.) — bicz wykonany z rzemienia. [przypis edytorski]

kto inny zastanie mnie z zeszytem na kolanach — pomagają uchylić temat z rozmowy, zbagatelizować...

— Zachciało mu się... — mówi. — Opowiadanie męczy go... Bazgrze sobie... Chce coś niecoś zanotować, przemyśleć...

Posyłam jej wtedy wdzięczne spojrzenie, a ona odpowiada mi spoza osłony swych binokli krótkowidza — pokrzepiającym, solidarnym, koleżeńskim wzrokiem wiernego współnika i sprzymierzeńca. Gdy jednak zostajemy sami i ja piszę (piszę, niekiedy zgrzytając zębami, wzdychając, jęcząc z niemocy) — biedaczka niepokoi się bardzo, że spisek ten ze mną uknęła, że mi na to pozwala, że pogarsza, być może, mój stan...? Dlatego też oczy jej — wyblakłe za szklami binokli — co chwila odrywają się od robótki i zegarka i podkradają się do mnie, cofają, płoszą i znów czują je na sobie...

Zresztą od kiedy postanowiłem pisać ten pamiętnik, zgadzam się jeść wszystko, co mi dają, a to przecież podtrzymać przez jakiś czas moje siły. Na tym więc serce matczyne coś zyska. Bo z jedzeniem — w pierwszych dniach — było to dla matki wielkie utrapienie i męczeństwo. Nie mogłem — nie ja pierwszy zapewne, nie ja ostatni!... nie mogłem jeść, przelknąć nic poza tym, co tam jedzą oni, moi, oświęcimiaci...

Wypuszczono nas dwudziestu trzech, ale gdyśmy szli przez dworzec warszawski i potem żegnali się na ulicy — już wtedy stało się jasne: owszem, zwolniono nas, te nędzne, potłuczone, poranione szkielety, kościotrupy, poruszane jeszcze jakimś dziwacznym wewnętrznym życiowym uporem... Ale wewnątrz nasze, to, co nazywa człowiek duszą, nasze dążenia, nasze tęsknoty, to jakoś nie od razu poszło z nami, pozostało uwięzione tam, w obrębie Oświęcimia. Jeden ze zwolnionych, zupełnie młody człowiek, który przez długie miesiące tęsknił tam do swej narzeczonej — od razu ujął teraz tę naszą przemianę we właściwe słowa: „Dla nas na jedno, wypuścili czy nie!... Niewielu z nas zechce, potrafi się oderwać!... Ja przynajmniej — to już chyba pozostanę tam z nimi... Większa część mnie tam uwięzła”... i uśmiechnął się przy tym do nas porozumiewawczym, tęsknym uśmiechem. Wszyscy milczeli, odezwał się tylko jeden, równie młody chłopak, stosunkowo mało wyniszczony, bo go prędko wydostała z obozu rodzina. I ten ku naszemu zdumieniu powiedział: „Nie będę świnią, żebym żarł i zapomniał, co tam z nimi się wyprawia”... Ja nie powiedziałem nic. Wydało mi się nawet w pierwszej chwili, że to przesada.

Ten zresztą chłopak od pierwszej wiadomości o zwolnieniu miał jaskrawą bardzo reakcję. To znaczy powstało w nim jakieś szczególne uczulenie w stosunku do pozostawionych w obozie kolegów. Więc np. wypuszczając nas — dali nam do rąk spore paczki na drogę. Zajrzeliśmy do nich, jak tylko wyszliśmy z obozu. Było w nich po kilka grubych kawałków chleba, posmarowanych masłem i obłożonych wędliną. Nadto opakowanie było pergaminowe! Otóż ten nasz kolega odrzucił od razu paczkę z pogardą i wściekłością: nie chciał jej!

Oczywiście jeden ze zwolnionych podniósł ją i dziw, że o to nie było bójki: przecie ludzie byli tak wygłodzeni!...

*

Ale gdym wszedł do mieszkania rodziców — uprzytomniłem sobie w najdziwniejszych okolicznościach całą prawdę tamtych słów. Ojciec był jeszcze w domu; gdy wchodziłem do jadalnego, siedział jeszcze zadumany nad kawą. Podniósł oczy — odepchnął się oburącz od stołu, porwał na nogi, wyprężył jak długi i padł na wznak. Zemdlął, jak się później okazało. Matka wybiegła ze swego pokoju na łoskot, z nieprzytomnym krzykiem rzuciła się ku mnie, ścisnęła, całowała, płacząc nieprzerywanym szczęśliwym i strasznym szlochem. Potem rzuciła się, aby podnosić ojca i zawołała o moją pomoc. Ale ja stałem jak słup, bo nad miejscem, gdzie upadł ojciec, wielki zegar wskazywał właśnie po siódmej... Wyprowadzano więc ich już tam do pracy!... Ustawiali się właśnie w szeregi... Moi z szeregu mieli tam lukę, może przez zapomnienie poszukali mnie łokciami? Byłem tam, byłem z nimi! To było ponad moje siły... Nie było mnie tutaj!...

To samo stało się w południe. Leżałem już w łóżku, wymyty, wyczyszczony, oczekując na posiłek. Matka rozmawiała już telefonicznie z doktorem i słyszałem, jak przyjmowała jego dyspozycje: „Rozumiem... Rozumiem... Najłżejsze, najstrawniejsze... wygłodzony”...

Więźni, Solidarność,
Wolność, Jedzenie

Zdawało mi się nawet, że będę jadł z wielką przyjemnością. A tymczasem... Kiedy matka weszła, wnosząc na talerz jakiś pysznej domowej zupy czy kaszy na rosole, doświadczyłem nagle wewnętrznego sprzeciwu, oporu o dzikim, niesamowitym napięciu... Poprzez parowanie doskonale przyrządzonego pożywienia dojrzałem jak żywe ich postacie: tam, wokół kubłów, ze swymi menażkami. Tak, jakbym stał z nimi, jakbym wyciągał też swoją menażkę... Zobaczyłem wyraźnie smutne spojrzenie przyjaciela, który umarł w wigilię² mego odejścia i który ostatni swój obiad powitał słowami: „No tak... Znów takie, że się to da oplukać zimną wodą”...

Tu zaś, w moim talerzu złożyły się liczne, delikatne, świecące kółka...

Pot wystąpił mi na skronie, oddałem matce tackę z nietkniętą strawą... Oczy matki za szklami zmętniały, zwilgotniały; drgnęły usta... „Dlaczego — synu?”... „To dobre!” „Przecie musisz powrócić do sił!”...

Siedziałem w łóżku daleki, zimny, obcy, nieprzystępny. „Za dobre...” — powiedziałem bezlitośnie. Matka jęknęła bez słowa, jakoś niby potknęła się i usiadła w głębi pokoju. Wszedł ojciec, który po zemdleńiu leżał w sąsiednim na otomanie. Pochylił się nade mną i z oczu jego płynęło ku mnie tyleż radości, że ocalałem, ile — rozpacz. Położył dłoń na mojej ostrzyżonej głowie i powiedział, odchrząkując, łamiącym się głosem: „Jeżeli nie zechcesz się odżywiać, będziesz musiał umrzeć. Czy chcesz... dokańczyć naród za Niemców...? To może nie miała cię matka oczyszczać ze wszy?” Zamknąłem oczy, bardzo zmęczony. Słyszałem, że matka szepnęła: „Zostaw go”.

I dopiero zacząłem odżywiać się, gdy postanowiłem pisać.

II

Więc naprzód muszę kilka słów o sobie, by wiadano, za co się trafia do Oświęcimia. Nie jestem literatem, nie robię literatury, więc może będzie to wszystko źle napisane. Trudno. Ale będzie szczerze. Nie byłem żadnym ważnym działaczem, politykiem, w ogóle *żadnym*. Przed wojną byłem rok na uniwersytecie i skończyłem podchorążówkę piechoty ze stopniem kaprała, w tym też charakterze brałem udział w kampanii wrzesniowej. Teraz to już obojętne. Potem — zostałem w kraju. Cała grupa bliższych kolegów zastanawiała się nad wyjściem do naszego wojska, zagranicę, do Francji i zrealizowała ten zamiar. Byłem też za tym, ale nie umiałem pokonać oporu, prośb, błagań rodziców. Zdawało im się, że nieodwołalnie mnie stracą, jeśli wyjdę. Nie zdawali sobie sprawy, że łatwiej — najmarniej w świecie — szczenąc tu, w obozie. Nie uczestniczyłem w żadnej robocie podziemnej (mam na myśli jakąś planową i stałą aktywność), bo my dwudziesto-, dwudziestoparoletni wydawaliśmy się — sami sobie — całkiem do takiej akcji nieprzygotowani. Urodziliśmy się w Polsce wolnej, przywykliśmy do jawności życia w równej mierze, jak do codziennego ubierania się, jedzenia itd. Oczywiście, nie było bez tego, że się miewało w ręku pisemka, czytywało i oddało dalej komunikat, ale była to tylko sporadyczna, przypadkowa łączność ze światem podziemnym, żadna polityczna działalność.

Zostałem wzięty podczas jednej z ulicznych łapanek letnich r. 1940. W kilkadziesiąt godzin po złapaniu wywieziono nas do Oświęcimia³. Niedługo przedtem „uruchomiono” ten obóz⁴.

Już w czasie siedzenia w warszawskich koszarach (w oczekiwaniu na wyjazd) — a raczej: *leżenia*, bo kazano nam leżeć na podłodze, wstawać nie było wolno, tylko na rozkaz — dowiedziałem się, że ogromna większość aresztowanych byli to tak samo ludzie *przygodni, przypadkowi*, tzw. „szary człowiek” z ulicy, no bo taka była ta metoda zgarniania. Właśnie dlatego, że byliśmy tą „zbieraniną”, warto chyba powiedzieć, że „zbieranina” potrafiła się znakomicie zachować. Proszę sobie wyobrazić parę tysięcy osób wrzuconych do wielkiej hali, którym kazano położyć się i leżeć na podłodze, jeden przy drugim,

²wigilia (daw.) — dzień poprzedzający; w wigilię: w przeddzień. [przypis edytorski]

³Oświęcim — miasto w historycznej Małopolsce, istniejące co najmniej od XII w. (prawa miejskie 1272), położone w centrum Kotliny Oświęcimskiej, między Pogórzem Karpackim a Wyżyną Śląską, o dogodnym ukształtowaniu hydrologicznym (przy ujściu rzeki Soły do Wisły, potoki Macocha i Młynówka, kilkanaście stawów i jezioro Kruki na obszarze miasta), mające dogodne połączenia kolejowe, drogowe i wodne z okolicznymi regionami. [przypis edytorski]

⁴Oświęcim obóz — chodzi o działający w latach 1940–1945 w Oświęcimiu (niem. *Auschwitz*) i pobliskich miejscowościach zespół niemieckich nazistowskich obozów koncentracyjnych i obóz zagłady. [przypis edytorski]

bez ruchu. Gdy ktoś musiał wstać dla złatwienia swej potrzeby naturalnej, unosił się na łokciach, ostrożnie wysuwał rękę, w ten sposób powiadamiając wartownika, że prosi o pozwolenie przejścia do ubikacji. W pierwszej godzinie, gdy próśb było od razu dużo, gdy ruchy były jeszcze mniej ostrożne i mniej wyuczone, ludzie z miejsca dostawali po palcach butem, bagnetem, gdy tylko byli blisko brzegu i dopiero po czasie pozwalano im wyjść. Na wzniesieniu, znajdującym się w końcu wielkiej hali, siedział żołnierz z karabinem maszynowym i w ciągu pierwszej godziny zabawiał się nastawianiem, kierowaniem karabinu na różne odcinki ludzkiej leżącej ciżby, przy czym stroił różne miny, to groźne, to uciészne. Potem znudziło mu się i siedział już spokojnie. Ale bicie, uderzenia w twarz, kopniaki trwały stale, gdyż przechadzający się dokoła nas wartujący żołnierze niemieccy (była to, zdaje się, policja), uważali to widocznie za niezbędną czynność wychowawczą. I jakże zachowywali się ludzie, Polacy?... Zupełnie spokojnie!! Nawet w najcięższym okresie pierwszych kilku godzin, kiedy jeszcze warta nie ułożyła sobie żadnego porządku postępowania z tą masą aresztowanych, nie słyszałem ani jednego płaczu, ani jednej poniżającej prośby, żadnego skamlenia, nie widziałem żadnego płaszczenia się. Była prawie cisza, bardzo ponura — odczuwało się ogromne ludzkie przygnębienie, byliśmy przygotowani na najgorsze, bo czegoż mogliśmy się spodziewać? Oczywiście fragmenty przyciszonych rozmów, jakie doszły moich uszu, brzmiały tragicznie: ludzie chcieli żyć, mieli w domu żony, małe dzieci, starych rodziców... Ale szept tragiczny i ponury, skłopotane westchnienia, zaciśnięte koło twarzy dłonie — i to było wszystko, cały wyraz zewnętrzny. Zwracanie się do Niemców — owszem było: jednostkowe — z prośbą o wyjaśnienie, o sprawdzenie dokumentów. W pobliżu leżał jakiś oficer, zwolniony z oflagu wskutek ciężkiego inwalidztwa: miał częściowy bezwład nóg. Zgarnęli go z jakiegoś mieszkania czy lokalu, nie bacząc na urzędowe niemieckie świadectwo zwolnienia; sądził jednak — tak mówił do nas — że przecież musi to być dla nich miarodajne. Kilka razy, uprzednio prosząc o pozwolenie wstania, usiłował przedstawić to swoje świadectwo warcie, a choć za każdym razem dostawał po głowie lub po rękę i nic nie wskórał, ponawiał swoją prośbę. Być może, że na tę masę ludzi działał widok karabinu maszynowego i groźba natychmiastowej śmierci (choć spodziewaliśmy się jej wszyscy); może lęk przed biciem — ale faktem jest, że nie miały miejsca żadne zbiorowe wołania czy błagania o litość, jęki ani szlochy. Uczucie beznadziejności, jakie musiało opanować wszystkich w tych warunkach, wyladowywało się w skąpych, powściągliwych, ponurych słowach: „No, to już po nas!... Jak już tak, to nikt nas stąd nie wydobędzie!... Trzeba ginąć”... itp.

Ale to przecież było pierwsze, krótkie kilkadziesiąt godzin!

III

Oświęcim. Tak trudno jest słowami — leżąc w ciepłym łóżku! — dać pojęcie o tym, czym jest Oświęcim. Pocieszam się, że przecie wyżyje jeszcze i wyjdzie część oświęcimiaków, silniejszych ode mnie i takich, którzy potrafią lepiej wykonać ten nasz obowiązek: odtworzenia dla Polski, dla przyszłych naszych pokoleń, dla polskich dzieci — tego miejsca bezprzykładnego polskiego męczeństwa. Więc moje pisanie — to dopiero początek...

Tak właśnie z góry rozgrzeszam siebie, jeśli nie potrafię oddać tu całej grozy Oświęcimia. Jestem zbyt wymęczony... Wysiedziałem tam jedenaście miesięcy... — — —

*

Pierwsze wrażenie: wjazd do obozu. Pociąg, którym jechaliśmy, podjechał wprost do obozu. (Potem, w innych wypadkach, pociągi zatrzymywały się niekiedy o 2–3 kilometry od tego miejsca i dalej pędzono więźniów na piechotę). Nasz pociąg stał dłużej w Skierniewicach i tam kilku więźniów próbowało uciec. Wszystkich zabito, ale trupy wciągnięto do wagonu i potem pierwsze wyrzucono na teren obozu. Ci więc otwierali niejako nasz wstęp. Nas, żywych, wypędzano, wyrzucano z wagonów i towarzyszył temu dziki wrzask straży obozowej i naszej eskorty. Starych ludzi, chorych, niedołącznych, bo i takich nie brakło, poganiano kopniakami; gdy zaś nie dość szybko zwiiali się, szczerzo psami.

Ustawieni w szeregi musieliśmy stać na placu w ciągu sześciu godzin bez ruchu, oczekując na przyjęcie nas do obozu. SS-mani spacerowali wkoło nas, wyrywali z szeregów

twarze, które się im nie podobały, zrzucali binokle z nosów, kopali nogami, tłukli kijem i gumą... Było nas na placu przybyłych około 2 tysięcy...

Podczas tych godzin, ciągnących się w nieskończoność, działy się różne rzeczy. Miał do nas przemówienie komendant obozu⁵: ostre, chłoszczące, nienawistne. Tłumaczono nam je. A więc — że zawiniliśmy, nie jesteśmy wychowani dla zbiorowości — tu dopiero przejdziemy należyte przeszkolenie. Uświadomił nas, że dalszy nasz los zależy tylko od nas samych. Obowiązuje bezwzględna karność, ślepe posłuszeństwo, pracowitość, uczciwość, porządek, czystość. Najdrobniejsze uchybienie nie będzie tolerowane, zapoznamy się z karami, na jakie sobie zasłużymy. To mniej więcej była treść przemówienia komendanta. Poza tym straż obozowa zabawiała się, jak umiała, zależnie od usposobienia i temperamentu: więc strzelali dla postrachu w powietrze, wywoływali z szeregów Żydów i jeśli który się wysunął — pastwili się nad nim; udzielali też szczególnej uwagi księżom, nakazując im robić błazeńskie przysiady, tańczyć, ubierać dziwaczne papierowe czapy itp. Strzeliła też straż kilka razy do starych więźniów, którzy zbliżali się do nas i prosili nas o chleb. Jednego z tych więźniów złapali i przed naszym frontem — gwoli pouczenia nas — dali mu 50 bykówców.

Dopiero po wyczerpaniu tych wszystkich pomysłów nastąpiło wreszcie właściwe przyjęcie do obozu: rejestracja, oddawanie własnych rzeczy, strzyżenie włosów na głowie i całym ciele, prysznic i przebranie się w obozową bieliznę i odzież.

W tej drodze do obozu, w sposobie traktowania nas, bezbronnych ludzi, w konsekwentnym, bestialskim sadyzmie Niemców — znajduje pełen wyraz ta głębia moralnego upadku, do jakiej doprowadził ten naród duch prusko-hitlerowski. Od wielu dziesiątek lat przecie — a ostatnie lata z pianą na ustach, w jakimś opętańczym szale wmawiano w tych Niemców, że są pierwszym narodem świata, że od ich szczęścia i dobrobytu zależy przyszłość całego świata, że muszą nad tym światem zapanować, że żaden inny naród nie może się do nich równać, że — dążąc do potęgi — mają prawo kroczyć po zgłiszczach miast, po trupach ludności innych krajów... Wiemy, że nie Hitler tylko Bismarck⁶ pierwszy wpajał to w świadomość niemieckiego narodu. Nie żaden podoficer, tylko wielki filozof niemiecki Fichte⁷ wołał na swych odczytach: „Jeśli Niemcy nie będą wolne i potężne, zginie świat, bo przyszłość świata od nas zależy!” No, ale Hitlerowi trzeba pozostawić pełnię zasługi (czytaj: zbrodni) zupełnego złamania kośćca moralnego w najszerszych kołach Niemców, kompletnego zdruzgotania wszelkich hamulców moralnych, najdzikszego, cynicznego wyzwolenia zbrodniczych, zwierzęcych, sadystycznych instynktów... Nie mam tu na myśli Gestapo⁸ i SS⁹, które można było rekrutować pośród kryminalistów, zbójów, złodziei i złoczyńców i zresztą — instytucje te podobno zasłużyły

Nacjonalizm, Naród,
Upadek, Choroba

⁵komendant obozu — komendantem obozu w latach 1940–1943 był SS-Obersturmbannführer Rudolf Höß; kolejni funkcjonariusze SS pełniący tę funkcję to: Obersturmbannführer Arthur Liebehenschel w l. 1943–1944 oraz Sturmbannführer Richard Baer w l. 1944–1945. [przypis edytorski]

⁶Bismarck, Otto von (1815–1898) — niem. polityk konserwatywny, jako premier Prus doprowadził do zjednoczenia państw niemieckich (1871), w powstałej Drugiej Rzeszy pełnił funkcję kanclerza; prowadził pozbawioną sentymentów politykę z pozycji siły, zyskując miano Żelaznego Kanclerza. [przypis edytorski]

⁷Fichte, Johann Gottlieb (1762–1814) — filozof niemiecki, obok Hegla i Schellinga jeden z najważniejszych przedstawicieli idealizmu niemieckiego. Zredukował filozofię do problematyki moralnej. Krytyczny następca myśli Kanta, twórca teorii wiedzy oraz nowego typu idealizmu subiektywnego, tzw. filozofii czynu. [przypis edytorski]

⁸Gestapo — skrót od niem. *Geheime Staatspolizei*, tj. Tajna Policja Państwowa, funkcjonująca w nazistowskich Niemczech w latach 1933–1945, zajmująca się zwalczaniem przeciwników politycznych III Rzeszy i działalnością kontrwywiadowczą. [przypis edytorski]

⁹SS — skrót od niem. *Schutzstaffel*, tj. Eskadra Ochronna; paramilitarna, elitarna formacja nazistowska utworzona przy Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników (NSDAP), złożona z najbardziej fanatycznych zwolenników nazizmu, wywodząca się z grup mających początkowo chronić osobę Hitlera oraz miejsca zebrań NSDAP, w 1925 r. uzyskała jednolitą nazwę, w 1929 r. jej szefem został Heinrich Himmler, pod którego komendą uzyskała niezależność, nowe mundury (czarne, z charakterystycznym oznakowaniem: dwóch podobnych do błyskawic run), a przede wszystkim rygorystycznie hierarchiczną quasi-wojskową strukturę. Zadaniem SS miała być przede wszystkim służba policyjna wewnątrz partii. W 1934 oddziały SS odegrały kluczową rolę w rozprawieniu się z opozycją wewnątrzpartijną w trakcie tzw. nocy długich noży, podczas której wymordowano przywódców SA (także formacji ochronnej powołanej przez Hitlera). W 1936 utworzono zmilitaryzowane jednostki dyspozycyjne SS (SS-Totenkopfverbände i SS-Verfügungstruppe), które w latach 1941–1943 zostały przekształcone w Waffen-SS. Oddziały SS stanowiły również załogi obozów koncentracyjnych. Do końca wojny SS stało się najpotężniejszą organizacją w III Rzeszy. Po II wojnie światowej, w 1947 formacja została zdelegalizowana i uznana za organizację zbrodniczą. [przypis edytorski]

sobie na skrajną nienawiść swych własnych rodaków!... Ale czym innym, jak zupełnym zdżyczeniem, zezwierzęceniem da się wytłumaczyć fakt, że pierwszy lepszy w mundur odziany Niemiec, żołnierz, policjant czy kolejarz okazuje się zdolnym do traktowania butami, zatłukiwania na śmierć bezbronnych ludzi, często kobiet, starych kobiet, dzieci... za potrącenie na ulicy, odwrócenie się, nie dość skwapliwą odpowiedź itp.? Nasi polscy sympatycy totalizmu (przed wojną) nieraz zachwycali się hitlerowskim dorobkiem wychowawczym! Może teraz rzeczywistość ponurej okupacji z tą całą gangreną, jaka się w Niemczech ujawnia, otworzyła oczy tym zaślepionym ludziom!...

*

Sama nazwa internowanych — „*Schutzbäftling*” — oznacza, że są to ludzie pozbawieni wolności w trybie ochronnym, zapobiegawczym, izolowani, by nie popełnili przestępstw! Większości nie tylko nie udowodniono popełnionego przestępstwa, ale ze sposobów aresztowania wynika, że większość nie bywa ani przesłuchiwana, ani badana. Wśród internowanych przeważa wiek „męski” — pomiędzy 25 a 45 laty, ale nie brak starców ponad lat 60 i chłopców nieletnich.

Dla tych ostatnich (niżej osiemnastu lat) jest odrębny blok i mają tam oni podobno nieco odmienne, lepsze warunki: parę godzin „nauki” czy też szkolenia w duchu hitlerowskim, naukanie języka niemieckiego, mniej pracy i nie ma bardzo ciężkiej, za to zamęczają „gimnastyką”. Początkowo obiecywano im po krótkim pobycie w obozie wyjazd do Rzeszy, do fabryk i gospodarstw, później o tym zamilkło. Zresztą o bloku młodocianych brak szczegółów i brak wszelkiego z nimi kontaktu.

*

Najstraszniejszy jest okres „rekrucki”, czyli tzw. kwarantanna. Bo w tym okresie obozowa straż „przysposabia” nas do obozowego życia, przyucza do naszych obowiązków i do swych wymagań; my zaś — jeszcze nic nie wiemy, nie umiemy poruszać się w ramach tego „ładu”, nie potrafimy przewidzieć nic, zapobiec ani się zabezpieczyć. Jesteśmy w tym okresie tak straszliwie bezradni, bo brak nam tego obozowego doświadczenia, które później — choć życie nie przestaje być męką — pozwala jednak na jakie takie „ochronne” przystosowanie, na wymijanie się z niektórymi przynajmniej konfliktami, starciami, pewną ilością ciosów — a więc jednak cokolwiek nas oszczędza. Poza tym w okresie kwarantanny świeżość doznawanych wrażeń jest tak straszliwa, wrażenia te zaś są tak nieludzkie, że się prawie nie wychodzi ze stanu *oszolomienia*, *półprzytomności*. No i twarze! Twarze internowanych, współtowarzyszy! Po miesiącach oko się już przyzwyczai; innych twarzy się nie widzi; dużo umyka już szczegółów naszej uwadze. Ale w pierwszych dniach! Te oczy, oczy więźniów! Zamagazynowano w nich cierpienie: codzienne, nieprzerwane, niewygasające. U niektórych — spłoszenie, lęk, niby jakaś ciągła drgawka: to słabi, mniej odporni. U innych — prócz cierpienia — zaciętość: wytrzymać, nie dać się. Ale każda twarz jest *napiętnowana*; taka, jakiej się w życiu nie spotyka. *Inne* ludzkie twarze. A do siebie — podobne! W pierwszych tygodniach, ja na przykład, nie umiałem rozróżniać, rozpoznawać ludzi. Mieszali mi się ze sobą, jakoś łączyli, zdawali się bezosobowi. Nawet Jacka, z którym dzieliłem siennik i bardzo się zaprzyjaźniłem, potrafiłem po dwu tygodniach jeszcze zagabnąć niby kogo innego, obcego. Zdarzyło się tak raz i dwa, aż za trzecim razem — było to podczas wydawania obiadu — Jacek przytrzymał mnie za przegub ręki i powiedział ostro: „Ty! Żebyś uważał na siebie, brachu!... Nie chcesz być fijoł¹⁰? Bo z tym twoim myleniem ludzi, to niedobrze!... To nerwy, bierz się w garść!” Ale Jacek, to był bardzo mocny chłopak, odporna, zdrowa natura. Nie żyje już dawno, zabili go. — Zginął mniej więcej w kwartał po moim (i własnym) przybyciu.

Powracam do okresu kwarantanny. Bicie! Mój Boże! Bicie nieustające, w każdej chwili, powszechne, wszystkich i każdego. To oczywiście było najstraszniejsze, nowe, dzikie. I potem w dalszych miesiącach, bicie nie zniknęło ani na jeden dzień. Biła straż niemiecka, bili „capowie” i Niemcy i nie-Niemcy, bijali, ciężko bijali, starsi sztub i bloków, o wstydzie, czasem — Polacy. Ale po pewnym czasie każdy z nas potrafił już rozpoznać się

¹⁰fijoł — tu: wariat. [przypis edytorski]

Więzień, Kondycja ludzka

Przemoc, Okrucieństwo,
Szaleństwo

w pewnych *sekretach, odmianach, prawach tego bestialskiego obtłukiwania ludzi*. Rozpoznaliśmy i znaliśmy już bijących. Wiedzieliśmy, który z nich jak bije — trzeba powiedzieć — *jak lubi bić*; kiedy bije, z jakiego powodu, w jakich okolicznościach itp. Bicie więźniów układało się już jakby w jakieś ramy; coś bywało do przewidzenia, jeśli nie zdarzyły się nowe, nieprzewidziane okoliczności. Podczas gdy w okresie rekruckim wszystko to razem zlewało się w jakąś *potworną ciągłość bicia*, chlastania po policzkach, kopania butami i czułem się bity bodaj wtedy też, kiedy mój policzek nie został jednak zaczepiony... Bity, bo tuż obok mnie, albo przez jednego — chlastano kogoś po twarzy... Bity, bo każdej sekundy mogło mnie to spotkać i w istocie często spotykało... Zdawało mi się nawet, że wpadam pod tym względem w histerię i spytałem Jacka — (dla samej kontroli) — czy w nim aby też się tak odzywa to bicie innych, obok, w naszej obecności. Nawiązując do jego uwag, powiedziałem, że nie chciałbym tu zwariować. Rozmawialiśmy późno wieczorem, w tych skąpych krótkich chwilach, kiedy mogliśmy być sami: po zamknięciu nas na noc. Większość naszych kolegów spała już kamiennym snem.

Jacek usiadł na sienniku, temat ten go poruszył.

— Nie, to nie fijoł — odparł żywo. — To coś takiego jest. Ja na przykład, jak wczoraj temu starszemu tak nawalili po twarzy, z obydwuch stron, po kilka razy, to wiesz, co czułem? Tak jakoś musiałem zacisnąć szczęki, że potem, czując: nie mogę rozewrzeć! Jakiś skurcz! I tak jakby lodem, mrozem mi to zwarło!... A przecie biedak stary daleko stał od nas i nie widać było, żeby Niemiec chciał dalej po wszystkich nas iść!... To więc było właśnie to, co ty mówisz!

Rozmawiałem też potem z innymi kolegami o okresie „rekruckim”; ogólny pogląd na szczególną udrękę tego okresu streszczał się zawsze do tych samych myśli: „*Nic nie wiadomo i bez przerwy bicie!*!”

Poza tym jeszcze inna dotkliwa udręka. W okresie kwarantanny nie chodzimy do pracy. A tymczasem — jest to właśnie okres, w którym się chce osiągnąć „*ułożenie*” nas we właściwej obozowej formie. Toteż tu doznajemy w pełnym zakresie klasycznej męczarni obozów koncentracyjnych, tzw. *ćwiczeń gimnastycznych*. (W innych okresach, gdy brak pracy, SS lubi stosować również gimnastyczne ćwiczenia). Jest to rzecz niebywale męcząca i udręczająca, ze względu na liczbę tych ćwiczeń, mnogość godzin im oddawanych i tempo ruchów. Jest to więc niekończące się: „*padnij-powstań!*”; tzw. „*żabka*”, czyli skakanie w przysiadzie, taczanie się po ziemi, chodzenie w kółko itp. Oczywiście każdy ruch mniej zwinny i mniej zręczny powoduje bicie i katowanie.

Ludzie często umierali nocami. Właściwie było to zjawisko tak codzienne, że utarło się już stereotypowe pytanie SS-ów¹¹ przy wejściu: ilu zmarłych?

Przecież w obozie umierało co dnia 10, 20 i więcej ludzi, nie licząc wypadków, gdy po karnych apelach na mrozie umierało w nocy i następnego dnia 40, 60 i więcej.

*

Wglębilem się już w szczegóły obozowego życia, zapominając, że trzeba naprzód dać pojęcie o tym, jak wygląda obóz w Oświęcimiu. Jest on wzorowany na dawniejszych, wielkich niemieckich obozach koncentracyjnych, jakkolwiek budynki nie były tu specjalnie budowane, tylko wykorzystano koszary wojskowe (dawne austriackie), składające się z kilku murowanych piętrowych budynków. Rozległy teren ogrodzono wysokimi ogrodzeniami z drutu kolczastego, nad którym przechodzi drut przewodzący prąd elektryczny o wysokim napięciu. Za ogrodzeniami wznoszą się drewniane wieżyczki z ustawionymi na nich karabinami maszynowymi i obsadą żołnierską. W nocy warta obowiązująca jest do nieustannego czuwania nad terenem obozu i jego okolic za pomocą reflektorów świetlnych, „*macających*” ziemię, celem udaremnienia wszelkiej próby ucieczki. W założeniu obóz musi stanowić całość w sobie zamkniętą. Prócz pomieszczeń dla internowanych, znajdują się tu mieszkania dla straży (SS-manów), kancelaria, izba chorych, szpital, składy (magazyny) gospodarcze, warsztaty naprawkarskie i budynek krematorium. W Oświęcimiu jest poza tym własny ogród warzywny i gospodarstwo rolne.

Więzienie

¹¹SS-ów — inny zapis: esesmanów. [przypis edytorski]

Mieszkania więźniów dzielą się na tzw. bloki, każde piętro stanowi blok osobny. Każdy blok dzieli się na „sztuby” (izby). W barakach specjalnie budowanych, jak w Niemczech, blok ma wspólne urządzenia umywalniane i klozety dla swoich sztub, sztuba zaś składa się też z dwóch pomieszczeń, sypialni i jadalni, względnie pokoju „towarzyskiego”. W sypialniach są łóżka (w piętrowych kondygnacjach), w jadalniach stoły i ławy oraz szafki na rzeczy więźniów (jedna na trzech). To wszystko jednak nie stosuje się do Oświęcimia, gdzie mieszkamy w dawnych koszarach i bloki są pozbawione urządzeń umywalnianych; śpi się najczęściej na siennikach i nie ma żadnych szafek dla więźniów.

*

Niestety, nie mogę opisać wszystkiego jak należy, po porządku, tak jakbym chciał, żeby odtworzyć wiernie wszystkie szczegóły tego życia. Brak mi sił. Leżę w łóżku, żywią mnie, leczą, szprycą przez cały dzień w robocie: glukoza, strychnina czy kamfora — już nie rozróżniam, ale wiem, że gwałtownie pchają we mnie środki nasercowe. Ale z tego, co słyszałem i wyrozumiałem, główną moją niedomogą z obozu jest — prócz wielkiego wyczerpania organizmu — stłuczona czy też uszkodzona przez uderzenie nerka. To powoduje bóle, słabość, rozstrój różnych czynności organizmu. I z tej strony, jak widać, zagraża mi największe niebezpieczeństwo. Stan mój uniemożliwia wydanie większego wysiłku, wysiłku systematycznego, ciągłego. Zabieram się do pisania, a tu słabość, ciemno w oczach, ołówek wysuwa się z ręki... Odkładam pisanie, zabiera mi to matka, pochylając się nade mną z troską, badając puls. No, dobrze, odpocznę — będę spał. Później wzmocnię się, po obiedzie więcej napiszę. No i tak rwie mi się to pisanie przez cały dzień. Dlatego też, z konieczności, zapisy moje są nieco chaotyczne, tyle i tak opiszę, na ile będzie mnie stać...

Więzień, Choroba,
Cierpienie, Ciało

*

Powracam jeszcze do spania, gdyż w nocy tają się różne udręki. To nie dotyczy już tylko okresu kwarantanny i w Oświęcimiu nie jest z nim związane, tylko zależy od stopnia przepełnienia obozu. Otóż przez rok bez mała, który tam wysiedziałem, zdaje się, w ciągu pięciu miesięcy tylko posiadałem swój siennik do własnego rozporządzenia. Jest to rzecz bardzo zasadnicza, bo w warunkach życia obozowego, wielkiego napięcia i niszczenia nerwów, samotność na wąskim choćby terenie posłania jest kardynalnym warunkiem wypoczynku. Kiedy zaś nawiozą dużo więźniów i następuje przepełnienie w sztubach (ponad 200 do 250 osób w sztubie), wtedy sypiamy na sienniku we dwójkę. Dla ludzi bardzo nerwowych przez to samo sen bywa przekreślony lub też ucięty do kilku zaledwie godzin w ciągu nocy. Nie zaliczałem się bynajmniej przedtem do osobników szczególnie nerwowych, ale sam doświadczyłem ciężko tej udręki. Bo partner np. kręci się, nie może się ułożyć; albo znów inny chrapie tak przez sen, że niepodobna usnąć; inny znów ma szczególny sen: wybucha wciąż gadaniem, zrywa się, nagle siada. No i ściga też koce, którymi się wspólnie na tym sienniku przykrywamy.

Sen, Więzienie

Jeszcze gorzej się robi wraz z chłodami, zimną jesienią, pluchą. Wszyscy niemal w pierwszym dniu chłodu przeziębiamy się. Bo aż do mrozów prawie jesteśmy boso i w drelichach, a nawet później, gdy zezwalano na dosyłanie ciepłych rzeczy, na zachowanie własnego obuwia, mało kto miał możliwość zabezpieczyć się od zaziębienia, przemarznięcia i chorób. Otóż powszechną, nagminną chorobą były rozstroje pęcherza i żołądka. Niezależnie od choroby wielka ilość płynów w pożywieniu i częste dawanie ziółek o własności moczopędnej na kolacje, powodują niezwykle ożywienie pracy pęcherza. Nocny ruch z sienników, między siennikami, do ubikacji — to były istne pielgrzymki, trwające właściwie przez całą noc. Jeśli twój partner potrzebował wstawać w nocy, budziłeś się. Nawet nie mogłeś kląć, bo cóż miał biedak począć? Zresztą gorzej było, jeśli który nie wstawał, a miał pęcherz tak zaziębiony czy chory, że nie kontrolował już oddawania moczu, potrafił, nie budząc się nawet, jak małe dziecko, zalewać wspólny siennik. Na tym tle w każdej sztubie bywały najostrejsze wymyślenia, kłótnie, bójki, bo nie zawsze przecie poszkodowany partner rozumiał, że taka przykrość jest wynikiem choroby. Ja to

rozumiałem, ale gdy mi się zdarzyło kilkanaście razy doświadczyć tego osobiście, przynajmniej, że zaciskałem zęby z nierozumnej wściekłości, odczuwanej mimo wszystko do tego biednego człowieka. A sen już w każdym bądź razie był stracony, bo trzeba było jakoś manipulować nieszczęsnym siennikiem, obracać go itp. A poza tym człowiek przewidywał już poranne następstwa tego faktu, gdy podczas sprząwania sienników wpadnie na to kontrola; trzeba było przemyśliwać sposoby zabezpieczenia siebie i nieszczęśliwca od bicia i kary za mokry siennik... Ktoś na wolności, nieznający obozu może sobie myśleć, że to są przecie drobnostki. Ale my tam, w obozie, wiemy, że wraz z nastaniem chłódów, gdy jeszcze na domiar złego przyjdzie natłok ludzki i wypadnie z kim „dzielić łożę”, te „drobnostki” wyrastają do rozmiarów dotkliwej męczarni... Bo człowiek, zamęczony gorzej od najgorszego pociągowego zwierzęcia, potrzebuje koniecznie, jak każde zwierzę, choć kilku godzin zapomnienia i odpoczynku we śnie.

*

Należy teraz powiedzieć parę słów o naszym rozkładzie dnia w obozie. Wstaje się rozmaicie: latem bardzo wcześnie, o godz. 4:00 już budzą. W zimie — około 6:00. Zaraz po wstaniu trzeba sprzątnąć posłanie, dyżurni sprzątaj ą izbę, reszta idzie się myć, potem ubiera i dostajemy śniadanie. Kawę przynoszą do bloków z kuchni w kotłach. Po śniadaniu (a więc między 5:00 a 7:00, zależnie od pory roku) — zbiórka przed blokiem, wymarsz na plac apelu, apel (trwający zasadniczo pół godziny). Po apelu formowanie kolumn roboczych, wymarsz do pracy (przygrywa nam do tego orkiestra, złożona z więźniów!), która trwa od godz. 7:00–8:00 do 11:00–12:00. Powrót na obiad, przed obiadem apel (pół godz.) znów praca od 13:00 do 17:00–18:00; w zimie praca trwa około 8–9 godzin, w lecie 9–10 godz. dziennie. Powrót do obozu, apel (pół godz.), kolacja i spanie. W lecie musimy iść spać o godzinie 20:30, w zimie wcześniej — o 19:45.

Więzienie, Czas

IV

Schorzenia internowanych są bardzo różne. W związku z ogromną ilością wszy powstają choroby skórne, jak np. wszawica. Bardzo rozpowszechniona i bardzo udzielająca się jest świerzba, wrzody, ropnie, wywiązują się flegmony na tle osłabienia organizmu i zanieczyszczenia nawet małych ran. Niesłuchanie rozpowszechniona jest biegunka i to biegunka krwawa, a zwłaszcza latem: powoduje ją zła woda do picia i wyjadanie brudnych obierzyn od kartofli. Częsty też jest szczególny rodzaj biegunki na tle nerwowym: sprawia to, że żołądek nie potrafi utrzymać pokarmu ponad kilka minut. Nagminnie też szerzą się w obozie choroby wynikające z przeziębienia (skutek wystawiania na apelach, mycia się bez koszuli na dworze, lichej odzieży) i wszelkie choroby płucne. Zwłaszcza młodych dziesiątkuje gruźlica. Chorują też i na tyfus plamisty. Prócz wrzodów, wynikających ze złej przemiany materii, rozpowszechnione są liczne owrzodzenia na skutek ran od bicia, wrzody na głowie, pozbawionej często nakrycia, no i bardzo też liczne bywają w zimie odmrożenia. Ponieważ w Oświęcimiu, jak w ogóle w obozie, jest lekarz, sanitariusze, izba chorych, szpital — mogą też powstawać na tym tle złudzenia (oczywiście tylko poza granicami obozu!). Otóż trzeba to z naciskiem podkreślić, że żadna opieka lekarska tu nie istnieje. Wszystko jest tylko nikczemną komedią, urągającą ludzkemu cierpieniu. Prawdopodobnie w pojęciu medycyny nieobozowej cały obóz potrzebował leczenia. Tymczasem pojemność wszystkich budynków szpitalnych była obliczona na liczbę maksimum do 3000 osób. Jeżeli więc porównać do ogólnej liczby w listopadzie-grudniu 1940 roku, stanowiło to zaledwie około 30% całego stanu liczebnego więźniów.

Więzienie, Choroba

Przed wszystkim bardzo trudno jest dostać się do lekarza, bo wszelkie „władze” blokowe i szpitalne stoją z reguły temu na przeszkodzie. Wolno też udać się do lekarza dopiero wtedy, gdy się ma ponad 38 stopni gorączki. Nie stosują żadnych lekarstw, prócz aspiryny i środków opatrunkowych (bandaże papierowe). Opatrunki robią sanitariusze, mianowani spośród więźniów; ulegają oni łatwo demoralizacji, lekceważąc chorych i rannych, wysługując się Niemcom i drżąc o swoje żebracze przywileje. Opatrują więc — we trzech lub czterech — w ciągu 1–2 godzin niekiedy do 500 więźniów, traktując ich przy tym jak bydło. Oczywiście lekarz i jego pomocnicy — to już Polacy! — również maltretują więźniów. Trudno jest dostać się do izby chorych, gdzie zresztą brud i warunki

Więzienie, Lekarz, Pozory, Okrucieństwo

życia analogiczne do ogólnych obozowych, tyle tylko, że nie zmuszają do ćwiczeń i pracy, nie zrywają do apelu. Ale jeśli chory, któremu nie uda się trafić do izby chorych, uzyskuje jednak zwolnienie od pracy (najłatwiejsze do uzyskania jest „Bettrube”, pozwolenie leżenia w łóżku, na sienniku) — to wstawanie na apel obowiązuje go w dalszym ciągu, niezależnie od stanu zdrowia i pogody. — Najtrudniej jest trafić do szpitala, zajmującego cały blok, gdzie dopiero jest czysto.

V

Zdaje się, powszechną jest skarga wypuszczonych z obozu na głód, jakiego tam doświadczali. W ogóle na jedzenie. Można to tak ująć ogólnie, że młodzi bardzo głodują, a starsi — prawie wcale. Tam bardzo jaskrawo występuje, jak przy schyłku życia organizm ludzki potrzebuje już mało godzin snu i mało pożywienia. My zaś, młodzi, straszliwie głodujemy, umieramy tam z wyczerpania na skutek stałego niedojadania, no i potrzebujemy swoich siedmiu godzin snu. Jedzenie dostajemy w obozie 3 razy. Rano (zależnie od pory wstania, latem wcześniej, zimą później — o 5:00 lub 6:00) czarną zbożową kawę, czasem podsłodzoną i do tego wolno sobie zjeść część chleba, który wydają nam na cały dzień (300 gramów na osobę); do obiadu, który jest w południe, zasadniczo chleba jeść nie wolno, a zresztą każdy musi zostawić sobie chleb do kolacji. Na obiad bywa zawsze zupa, lepsza lub gorsza. Taka więzienna, ale podobno nie gorsza np. od zupy z Pawiaka. Są tam różne jarzyny. Czasem brukiew, kapusta, fasola, zawsze kartofle, ale nie gęsto, po parę kartofli na więźnia. Czasem kasza. Okresami zupy te bywają lepsze, trochę tłustsze, lepiej okraszone. Ale zdarzają się długie okresy, w których zupy są tak „chude” i jałowe, że menażka daje się oplukać do czysta zimną wodą. Na kolację około godz. 7:00 do chleba otrzymujemy kawę, czasem znów zupę, bywają zaś takie tygodnie, że wydają nam raz — dwa razy w tygodniu po kostce margaryny lub po parę plasterków kiełbasy do chleba. Powiedziałem już, iż ilość płynów w pożywieniu jest duża. Istotnie rano i wieczorem po $\frac{3}{4}$ litra kawy, herbaty ziołowej, zupy lub kawy wieczornej; na obiad 1 litr zupy; daje to więc dwa i pół litra dziennie, a niekiedy można jeszcze otrzymać dolewkę. Żywnienie więźniów okresowo polepsza się i pogarsza, w czasie mego pobytu było też kilka takich zmian. Czasami pogarszało się o tyle, że więźniowie wyjadali z pomysł obierki. Na wiosnę 1941 roku zwiększono nam dzienną rację chleba do 500 gramów na osobę — i do śniadania zaczęli wydawać — podobnie jak do kolacji — po trochę marmelady, margaryny lub tym podobnych. Uwzględniając jednak wszelkie polepszenia, trzeba stwierdzić, że żywnienie to jest niewystarczające, wskutek braku tłuszczów pozbawione własności odżywczych, powoduje wyczerpanie, złośliwą anemię, skorbut.

Mówiąc o jedzeniu, można jeszcze dodać, że czasem zaczynają nam dużo dawać kartofli w zupie lub dużo brukwi, kapusty; zachodzi to wtedy, gdy się na składzie jakiś produkt żywnościowy psuje, gdy jest go jeszcze dużo i trzeba go prędzej skończyć. Kartofle w zupie bywają zasadniczo bez łupin, ale zdarzało się też, że otrzymywaliśmy je w łupinach. To już nie wiem, od czego zależy. Może czasem tych kartoflanych skrobaczy popędzą do innej pracy, nie zdążą oskrobać dostatecznej ilości kartofli i resztę kucharz wrzuci do kotła w łupinach. Czy ma się tym przejmować? Zresztą łupiny, obierki kartoflane nie są tam u nas bynajmniej w pogardzie: z głodu, jak już wspomniałem, młodzież często wyjada obierki i podobne odpadki od obiadów na surowo, nadto wybierając je ze śmietnika. To chyba jest już dostatecznym świadectwem, jak strasznie głodują tam nasi młodzi chłopcy.

Dobrą ilustracją wygłodzenia internowanych może być i taki fakt. Jeden z „kapów” (widocznie człowiek przyzwoity) wystarał się na własną rękę o dodatkowy kocioł kaszy i śmiejąc się, rozdzielał tę kaszę między swych podkomendnych. Gdy jednak dokoła kotła zaczął się tworzyć wielki tłok i tłoczący się ludzie nie utrafiali z podsuwaniem menażek, „kapo” jął, zaśmiewając się jeszcze lepiej, wyrzucać kaszę łyżką na głowy, ręce więźniów i wprost na ziemię... Okropnie przykry był widok ludzi, zlizujących tę kaszę z własnej odzieży lub zbierających ją też z ziemi, pomieszaną z piaskiem. Zrozumiałem, patrząc na to, że u wielu ludzi głód — a może nawet nie dosłowny głód, tylko niedosyt — wytwarza stany, w których przestają działać wszelkie hamulce: wstydu, godności, wreszcie wprost rozsądku.

Miarą wygłodzenia ogólnego może być i to, że powszechnym marzeniem i pragnie-

Więzień, Młodość, Starość,
Głód

Głód, Upadek, Obyczaje

Głód, Więzień

niem więźniów jest: najeść się!... Marzenie, oczywiście, nieosiągalne w obozie, realizacja zaś jego na wolności przyprawiła podobno niejednego z oświęcimiaków o dodatkową przewlekłą chorobę: wyposzczony i wygłodzony żołądek nie potrafi trawić normalnej, lepszej, tłustszej strawy. Temat: jedzenie wypełnia też 90% wszystkich rozmów między więźniami w obozie.

Muszę jeszcze dodać, że zasadniczo zezwala się nam na dokupowanie sobie żywności w obozowej kantynie. Ale prawie nic żywnościowego nie ma w tej kantynie. Są za to inne rzeczy i proszę mnie nie posądzać o jakieś dowcipy czy żarty: wolno kupić sobie w kantynie puder, krem do twarzy i rąk, wodę kolońską i podobne przedmioty toaletowe.

VI

Mycie. O tym trzeba napisać. Właściwie — poza letnim czasem — każdy z nas stara się wymigać od mycia. Gdyż myć się trzeba na dworze, przy pompie, przy czym obowiązkowo do pasa się obnażyć. Można sobie zaoszczędzić mycia, bo z natury rzeczy przy tej pompie jest wielki tłok, są tylko 2 pompy na obóz, a nikt specjalnie nie kontroluje, czy aby istotnie wszyscy się myją; wyskakuje się więc „do połowy” na chwilę, pokręci i wraca do sztuby. Warto też dodać, że mydła nam nie wydają. Właściwie, gdy chodzi o ścisłość, to mydło wydawali bardzo rzadko i w ilości całkiem niewystarczającej: po 3–4 kawałki na dwadzieścia kilka osób.

Prócz chłodu wielu odstręcza od mycia kwestia wspólnych ręczników. Bo oczywiście tą drogą od razu wcieramy sobie — i to najdokuczliwsze — choróbska. Przecie do Oświęcimia przychodzą i ludzie chorzy, z różnymi wysypkami, świerzbem, choroby na oczy, jagliczni¹² itp. Nie mówiąc już o zagruzliczonych. Względnie — inni zachorowują na miejscu — też poprzez ręcznik.

Czystość nasza, rzecz jasna, jest z miejsca nierówna, bo nie brak brudasów i na wolności i plagę obozu — wszy — niektórzy przynoszą na sobie z wolnego życia. Natomiast w warunkach obozowych *wszy rozmnażają się znakomicie*. Chyba żaden z internowanych w Oświęcimiu nie potrafi się od tego ustrzec, skoro mycie odbywa się, jak pisałem — kąpiel jest bardzo rzadka (raz na kilka tygodni), zmiana bielizny również rzadka. Wszy obsiadają nas w nieprawdopodobnych ilościach; niektórzy koledzy zdobywali się na tyle humoru, że liczyli zabijane na sobie w ciągu dnia wszy: bywało tego kilkadziesiąt, niektórzy zaś naliczali niekiedy paręset... choć to się może wydawać nieprawdopodobne... Z czystością łączy się sprawa odzieży. Kiedyśmy zjechali na jesieni (wkrótce po założeniu obozu), odebrano nam wszystko własne — i obuwie też — ubrano w letnie drelichy, pozostawiono boso. Potem, w zimie, po masowych zgonach, wydano drewniane trepy i częściowo zwrócono własne obuwie. Na wiosnę zaś r. 1941 zmieniło się pod tym względem: jeszcze w maju wolno było zachować obuwie. Początkowo odzież nasza składała się z koszuli i drelichowego garnituru: kurtki i spodni. Kalesonów nie mieliśmy. Dopiero w zimie, podczas wielkich mrozów, pozamieniano drelichy na cieplejsze, stare wojskowe odzienie. Części wydano nawet płaszcze. Okresowo pozwalano później na dosyłanie ciepłych rzeczy, ale to było trudne i mało kto to osiągnął; nie wszyscy otrzymali wysłane im rzeczy. — Trzeba zaznaczyć, że zasadniczo obozowy strój więźniów jest pasiasty (w celu utrudnienia ucieczki z obozu). Letnie ubranie — w pasy granatowe i białe, zimowe — granatowe i szare. Z tegoż materiału są i czapki, i płaszcze (o ile są). Letnie ubrania są z drelichu (a służą często do listopada), zimowe z materiału przedstawiającego mieszaninę bawełny z pokrzywą, więc niedającego ciepła. Bluzy obozowe są zrobione krojem piżamy. Okresowo, zwłaszcza w początku lub też gdy wielki natłok więźniów powodował brak ubrania, wydawano więźniom odzież dawną wojskową, nadto malowaną w czerwone i czarne pasy.

Odzienia te przechodzą z więźnia na więźnia, nie są w ogóle wcale dopasowywane, zdarza się też, że z pobudek sadystycznych ludziom tęgim i roslym dają spodnie sięgające do pół łydki, kurtki niemogące się zapiąć itp. Wszystko to jest brudne, podarte, połatane.

¹²*jaglica* — ciężka, przewlekła choroba oczu, której powikłania prowadzą do ślepoty; zapalenie rogówki i spojówek połączone z charakterystycznym występowaniem na spojówce tarczkowej (szczególnie powieki górnej) tzw. jagiel, czyli grudek wypełnionych ropną treścią, otoczonych przekrwieniem; jaglica, zw. też egipskim zapaleniem spojówek jest chorobą bakteryjną, wywołowaną przez chlamydie. [przypis edytorski]

Jednak największym umartwieniem więźniów, gdy idzie o tę kwestię, jest sprawa obuwia. W okresach chodzenia boso nogi kaleczą się od ostrego szutru, jakim jest wyspany teren obozowy, często zdarzają się rany na nogach (od tyłu) od kopnięć butem. Potem, gdy wydają obuwie (drewniane lub skórkowe, dawne żołnierskie) — bywa to również obuwie wcale niedopasowane, bardzo często ciasne, o przyszwach wpijających się w rany. Więźniowie, zmuszeni do całodziennego chodzenia, ćwiczeń i pracy, cierpią na ogół dotkliwie z powodu obtarcia nóg, ran i bólu. Są ludzie, którzy całymi miesiącami nie mogą wygoić nóg, jakkolwiek wstając wcześniej od innych, pracowicie okładają ranki szmatkami, chroniąc je od bezpośredniego zetknięcia z butami. Oczywiście na złe gojenie ran wpływa złe żywienie. I tak w kółko!

VII

Praca. Wiem, że bardzo ważne jest napisać porządnie o pracy internowanych, przy której i w związku z którą umarło i umiera tyle ludzi.

Nie trzeba tego tak rozumieć, że sama praca, jako taka, zabijała ludzi. Zwłaszcza dla ludzi zdrowych i przyzwyczajonych do fizycznego wysiłku — tak ciężkiej pracy w obozie nie było. Powiedziałem zresztą, że umierają ludzie przy pracy i w związku z pracą i to jest ścisłe, bo zabija nie sama praca, a praca w związku ze złym odżywianiem, przeziębieniem się itd. Właściwie w okresie kwarantanny, gdy nas jeszcze nie dopuszczają do żadnej pracy, wszyscy się do niej wyrrywamy. Bo wydaje się, że skróci to nieograniczony czas pobytu w tej przeklętej kaźni, oderwie myśl, stworzy jakąś ulgę. Zwłaszcza silni, dobrze zbudowani, rozrośnięci mężczyźni, o wyrobionej muskulaturze, przyzwyczajeni do ciężkiej pracy fizycznej, upatrują w tej pracy sposób umożliwienia sobie przetrwania w obozie. Ale te oczekiwania i nadzieje zazwyczaj kończą się wielkim rozczarowaniem, gdyż praca — jak wszystko w obozie koncentracyjnym — najeżona jest najprzeróżniejszymi szykanami, udręczeniami i nieraz po prostu męczeństwem.

Właściwie zasadniczym przekleństwem tu jest, że praca nasza (niezależnie od rodzaju) odbywa się pod kontrolą specjalnych dozorców, mianowanych spośród więźniów i noszących szczególnie tytuł „*capo*” (czytać: kapo, z włoska: głowa); tytuł ten przywędrował tu z niemieckich (a zapewne i włoskich) obozów koncentracyjnych, bo zdaje się, Włosi przodowali w tym ohydny wynalazku. W mojej sztubie był człowiek, który przed Oświęcimem zdążył już być w jednym z niemieckich obozów koncentracyjnych, jego też opowiadaniom zawdzięczam pewną możliwość porównywania. Otóż w Oświęcimiu, tak jak i w niemieckich obozach koncentracyjnych we właściwej Rzeszy urząd „*capo*” obejmują zasadniczo Niemcy.

Tu muszę nadmienić, że w Oświęcimiu początkowo byliśmy sami chyba Polacy. Po pół roku mniej więcej przywieziono Niemców-więźniów i tych umieszczono w odrębnym bloku. Wśród nas zaś siadywali i dzielili nasz los tzw. *volksdeutsche*, jeśli ich tu za jakie winy zesłano. Niemcy internowani nie wychodzili do pracy. Kolega, który znał obóz w Niemczech, opowiadał, że tam SS gnębiła Niemców nie mniej jak Polaków. Tu u nas, w Oświęcimiu — ze zrozumiałych względów — SS-mani nie mogli sobie na to pozwolić. W niemieckich obozach obowiązki starszyny pełnią podobno często polityczni. W Oświęcimiu urząd kapów powierzono przeważnie Niemcom-kryminalistom. Rozróżnia się to według koloru trójkątów, naszywanych na ubraniu więźniów. Polityczni i my, wszyscy Polacy mamy czerwone trójkąty.

Godność zastępcy „*capo*”, zwanego „*untercapo*” (pod-kapo) powierzono w Oświęcimiu Polakom. Taki „*untercapo*” ma pod sobą 20 więźniów, podczas gdy „*capo*” około 100. Wybierają oczywiście ludzi dobrze władających językiem niemieckim, a więc z natury rzeczy trafiali się tu Ślązacy. Stąd może pochodzić, że zwalniani z Oświęcimia często mówią o złym zachowaniu się więźniów ze Śląska, a raczej — niesłusznie uogólniają fakty jednostkowych podłych i niegodnych wyczynów Polaków tej dzielnicy. Przez dłuższy czas do Oświęcimia przywożono tylko Polaków ze Śląska i z tzw. „Generalnego Gubernatorstwa”. Z Pomorza i Poznania nie widać było ludzi, wysyłali ich włąb Rzeszy.

Jeżeli zaś chodzi o Ślązaków, to np. ja na jesieni r. 1940 zastałem na stanowiskach „*capo*” (lub może zastępców) ludzi ze Śląska, jak się zdaje, wybranych spośród więźniów

kryminalnych z tej dzielnicy. Potem zaś mianowano już spośród ogółu więźniów, gdy się który wydał odpowiedni.

Trzeba zrozumieć, jaką tu rolę odgrywa znajomość niemieckiego języka. Ja sam po niemiecku prawie nic nie rozumiem, dopiero w Oświęcimiu nauczyłem się znaczenia kilkunastu, paru dziesiątków wciąż powtarzanych wyrazów. Mogę więc z własnego doświadczenia stwierdzić — i to się pokrywa z opinią wielu więźniów w tym samym, co ja położeniu — że nieznajomość tego języka dzieli nas od razu jakby murem od naszych oprawców, od SS-manów. Zapewne, że łatwiej i prędzej — w złości — zatłuką na śmierć człowieka, który nie rozumie rozkazu, nie potrafi odpowiedzieć itp. Ale ileż rzeczy oszczędzone nam jest, gdy nie rozumiemy powodzi słów w tych wstrętnych gardłowych wrzaskach; w iluż wypadkach — gdy musi iść ten znający język — my, masa pozbawiona tej znajomości, pozostajemy na miejscu. Natomiast Ślązacy lub też w ogóle ludzie z zachodnich dzielnic, poprzez sam fakt mówienia po niemiecku, od razu wyodrębniają się jakby z tłumu, uzyskują bezpośredni dostęp do władz i choćby byli najprzywocitnymi Polakami — stają się jakimś ogniwem pośredniczącym między niemiecką władzą obozową a nami, Polakami, więźniami. To samo co do „kapów” stosuje się również do więźniów mianowanych „starszymi” sztub i bloków, dalej — pisarzami lub sekretarzami bloków. Oczywiście zawsze są to tylko ludzie dobrze mówiący po niemiecku.

Podobnie jak unterkapowie starszyzna sztub i bloków otrzymuje z rąk Niemców swój „urząd”, swoje funkcje. Muszą się wykazać należytą sprawnością, gdyż sami są więźniami i każdy z nich, gdy się nie podoba SS-manowi, otrzymuje nie gorzej od nas w twarz, kopniaka butem; może podlegać każdej karze: chłosty, „słupka” itp. więc boi się, unika, wysługuje się władzy. Poza tym z tytułu „starszeństwa” i „kapowstwa” mają ci ludzie pewne przywileje, np. dowolna porcja zupy, chleba, lepsze posłanie, bo ja wiem, co jeszcze bywa? I to jest też nie do pogardzenia. Nie brak też zapewne i takich obliczeń, że jeśli się dobrze zasłuży, może uzyskać łatwiej zwolnienie. To są te wszystkie okoliczności, które sprawiają, że starszyzna z więźniów i kapowie szybko się demoralizują. Więc: męczą więźniów wymaganiami nadmiernego wysiłku; biją; wnoszą niekiedy sami o przedstawienie więźnia do kary „protokolarnej”. (O karach w lepszej chwili będę pisał szczegółowo).

Rodzaje pracy są różne. Najłżejsza i najbardziej pożądana jest praca w kuchni. Obieranie kartofli, zmywanie kuchennych naczyń. Swoje menażki i kubki więźniowie sami zmywają. Osobiście nie pracowałem w kuchni. Nie upiekło mi się. To zależy od przypadku! Za czas mego pobytu tam jeden więzień od początku do końca trwał przy tej pracy. Inni — zmieniali się. Wszyscy oczywiście tę pracę raczej chwalili. Praca w ciepłym pomieszczeniu, w dużej mierze siedząca. Od wielu „kartoflarzy” słyszałem, że i kapowie kuchenni na ogół bywali znośni. Jeden tak mi to tłumaczył: „Wiesz? W ciepłe — to żarcie sobie paruje! — A chce, to w każdej chwili coś wsunie — to jemu i na złość się nie zbiera!” — Dobrze to jest wyjaśnienie.

Inne prace — niekoniecznie wszystkie ciężkie, ale też często zabijające swą bezmyślnością. Zresztą poganianie, ciągle bicie, śrubowanie wysiłku, nastawianie kapów na tresowanie więźniów, na obrzydzenie im życia — wszystko to sprawia, że właściwie każda praca jest nieznośna. Zwłaszcza, że do pracy wyganiają nas w każdą pogodę: deszcze, śnieg, chłód.

Najcięższe, oczywiście, są prace budowlane, zresztą sprowadzające się dla nas raczej do gromadzenia, ściągania, noszenia materiałów budowlanych dla zamierzonej w okolicy niemieckiej fabryki lub innych budynków. Materiały budowlane są ciężkie i bez żadnej miary bywają ładowane na człowieka. Warto tu nadmienić, że jeśli praca ta wypadnie więźniom będącym w kompanii karnej, muszą ją nadto wykonywać *biegiem*. A i w ogóle — poganianie tempa przy tej lub innej pracy zależy przecież od widzimisię, humoru, temperamentu itp. dozorczy. Tu naprawdę nieszczęśliwi są i gęsto składają swe życie w ofierze ludzie słabsi, starsi, a również ci zgoła nieprzyzwyczajeni do żadnej fizycznej pracy. Niezręczność, niesprawność fizyczna biednych naszych uczonych, profesorów, księży, adwokatów — przyprawia ich w obozie o niesłychane, codzienne męczeństwo. Bo u młodych zwierzaków niemieckich, którym cały intelekt wegnano w mięśnie nóg i rąk — każdy niezręczny, niezaradny ruch więźnia, każde potknięcie budzi nieopisany szal wściekłości. Bardzo często zabijają w takim wypadku na miejscu lub też stłuką tak, że człowiek musi

Praca, Więzień

w najkrótszym czasie życie zakończyć. Widziałem raz sam z daleka, jak biegł z ceglami starszy, chudy, wysoki więzień (zdaje się był to inżynier); zresztą nie wyglądał wcale na niedołęznego. Ale zdarzyło mu się poślizgnąć w biegu i upadł, rozsypując cegły. SS-man dopadł z błyskawiczną szybkością leżącego i uderzeniem buta w skroń zabił go na miejscu. *Takich wypadków zdarza się bez liku.*

Do najcięższych prac należy też tzw. wałowanie terenu. Do walca, za pomocą którego się to wykonuje, zaprzęgni są z przodu więźniowie; na walcu przytwierdzony jest rodzaj siedzenia, na którym siedzi *capo* dozorujący tej pracy. Teren obozu podlegający wałowaniu wysypany jest, jak już wspomniałem, bardzo ostrym żwirem, szutrem. Chodzi o ugniecenie tego szutru. Przy tej pracy więźniowie miewają nogi poranione i poobdzierane do krwi, a że nie dają ich leczyć, ani nawet porządnie umyć, u wielu wywiązywało się ropienie, gnicie i gangrena.

Capo zajmuje się przez cały czas tej bardzo forsownej pracy ludzkiej dzikim wrzaskiem i waleniem po więźniach bykowcem lub kijem. Przy tej pracy, z istoty swej wymagającej wielkiego wysiłku, pada i ginie bardzo wielu więźniów. Póki byli w obozie Żydzi (grupa ich, szczególnie dręczona, szybko wymierała i bodaj już teraz całkiem wymarła), to używano Żydów do tej pracy, ale nie samych tylko Żydów, również — księży. Przy tej okazji nadmienię, że chcąc dokuczyć księżom, Niemcy lokowali ich w bloku razem z Żydami. Jak tam inni księża sobie radzili, to nie wiem, ale był w Oświęcimiu ksiądz Marian Morawski, który zasłynął w całym obozie jako „święty”: tak wspaniałe, tak bohaterkie i zarazem tak głęboko chrześcijańskie i ludzkie było jego zachowanie. Choć pracował on razem z Żydami przy wałowaniu drogi i dręczony był, poniewierany, bity, jak Żydzi, człowiek ten ani na chwilę nie utracił pogody ducha; z twarzy nie schodził mu łagodny uśmiech, miał dla każdego z towarzyszy niedoli słowa współczucia i otuchy. Wieczorami, w sztubie, zajmował się nieustannie najbardziej umęczonymi i udzielał im wszelkiej pociechy. Wpływ tego człowieka na więźniów był ogromny. Do końca życia też wytrwał w tej postawie. Oprawca zabił go podczas pracy uderzeniem z góry w głowę.

Męczące — bo głupie i bezcelowe — były takie prace, jak np. wybieranie kamyków z drogi; przenoszenie kamieni z miejsca na miejsce; kopanie do niczego niepotrzebnych dołów, które bardzo często wkrótce kazali znów zakopywać. Rozumieliśmy, że nie idzie tu naprawdę o wykonanie jakiejś pracy, tylko o to, by zmuszać nas do całodziennego, zawsze niewspółmiernego do naszych sił i do żywienia wysiłku, by torturować przy tej sposobności i trzymać w stałym napięciu. Tym bardziej, że nawet ciężko chorzy musieli wychodzić do pracy. Sądzę, że nadzór nie gorzej od nas pojmował zupełną zbędność i bezcelowość niektórych wykonywanych w obozie prac. Ale to nie przeszkadzało: wymagać, dopingować, bić, karać.

Czasami nie było pracy do wykonywania. Wtedy ustępowali kapowie, a przejmowała nas grupa dozorców. Zaczynały się ćwiczenia „gimnastyczne”, o których już pisałem. To bywało nieraz jeszcze cięższe do wytrzymania!

Kapowie, poza całkowitą, nieograniczoną swobodą bicia więźniów, którą sobie przyswajali od chwili objęcia „urzędu” — nie mieli prawa osobiście przedstawiać więźnia do tzw. protokołu, czyli kary protokolarnej, regulaminowej, o charakterze i wysokości której decyduje komendant obozu. Ta sprawa musiała iść od *capo* do SS-mana i ten dopiero posuwał ją dalej. Jedynym przywilejem ciężko pracujących była zwiększona racja chleba (3 razy w tygodniu po 1 kg).

VIII

Przechodzę więc teraz do kwestii kar.

Ludzie, którzy nie bywali w obozach koncentracyjnych, najczęściej łączą ze sobą sprawę kar z codziennym, powszechnym biciem i zatłukiwaniem więźniów. Otóż te rzeczy my odróżniamy i trzeba je rozróżniać. Kary, jakie wyznacza władza obozu za różne przewinienia, są w ogóle ciężkie; niektóre — straszne; jedyna kara lekka — to jest pozbawienie wolnej niedzieli. Ta kara jest też marzeniem wszystkich więźniów.

Kara ciemnicy polega na zamknięciu w tzw. bunkrze, maleńkiej, pustej celi, o wodzie i odrobinie chleba. Ciepłą strawę dają do ciemnicy raz na kilka dni. Kara ta bywa jeszcze łączona z chłostą.

Praca, Więzienie

Kara polewania wodą. Stosowana bywa niezależnie od pory roku i może trwać od 15 min. do 1 i ½ godz. Więźnia w ubraniu polewa się wodą z gumowego węża. To się zwykle kończy zapaleniem płuc. Bicie wodą z hydrantu z małej odległości, gdy chodzi o twarz, powoduje nieraz uszkodzenia gałek ocznych; bicie wodą w pierś wstrzymuje działalność serca i w pewnych wypadkach powodować może śmierć na miejscu.

Bardzo ciężka jest kara „słupka”, właściwie stara wojskowa kara austriacka, stosowana nie publicznie, na strychach budynków. Człowieka podwieszają za ręce, związane za plecami do słupka tak, by końce, czubki palców u nóg nie mogły się oprzeć o ziemię, ale jej z lekka dotykały; oprawcy rozsuwają przy tym wiszącemu nogi; ból od wyłamywania rąk, ból stawów w ramionach, w rękach jest podobno straszliwy (ja nie miałem tej kary); jest to tak bolesne, że silni mężczyźni podczas tej kary po prostu wyją i ryczą z bólu. Jednorazowa „dawka” słupka nie może przewyższać godziny, ale skazują na 2 i 3 godziny „na raty”, w różnych dniach! Lepiej, spokojniej znoszą tę torturę ludzie o silnej woli (choć nawet wątleszy fizycznie) albo też bardzo wierzący, których ten rodzaj męczeństwa zbliżać się zdaje do Chrystusa. Tak to sobie teraz rozumiem, przebiegając w myśli znane mi wypadki kary „słupka”. Do kar „regulaminowych”, wynikających z zapisania w „protokole”, należy oczywiście również kara chłosty.

Na karę chłosty skazują na ogół za przewinienia uważane za największe; stosuje się tu publicznie karę chłosty, na placu, w obecności ustawionych w szeregi wszystkich internowanych... Skazują na 25, 50 i do 100 razów po 25 dziennie. Oczywiście 100 razów to jest pewna śmierć, ale mało kto z nas, wyczerpanych i wymęczonych, może wytrzymać ponad 50 razów i ostać się przy życiu, gdyż muszę zaznaczyć, że nie jest to byle jakie uderzenie, tylko walenie z ramienia, z całej siły. Tłuką kijami, bykowcem, rzadko gumą. SS-mani mają pod tym względem nie najgorszą orientację, gdyż wiedzą, w jakim miejscu więcej boli.

Zdaje się, że wymienilem najważniejsze z regulaminowych kar.

Doraźnie, bez przedstawienia do protokołu, w trybie „szkolenia” internowanych, SS-mani stosują jeszcze różne procedery karne. Jest ich taka mnogość, że trudno to wyczerpać. Do ulubionych doraźnych kar należy tzw. „żabka”, skakanie w przysiadzie, stosowane poza tym i jako gimnastyka; każą tak skakać kwadrans, 20 minut! Starsi, ciężcy lub chorzy ludzie nie wytrzymują tej kary.

Ale muszę jeszcze powrócić do publicznej chłosty na placu, gdyż chciałbym, żeby ze słów moich można było choć w części wyobrazić sobie całą groź i całą straszliwą zbrodnię takiej kary; chciałbym, żeby dzieci nasze w wolnej Polsce wychować w takiej do tych metod postępowania z ludźmi nienawiści, ażeby obóz koncentracyjny (Bereza!) nie był już nigdy w Polsce do pomyslenia. Bo rzeczywiście jest to rzecz nad wszelki wyraz zbrodnia i straszna. Za czas mego pobytu w Oświęcimiu musiałem — wraz z całym ogółem — asystować cztery razy przy chłości publicznej skazanego za próbę ucieczki. Właśnie za to przewinienie najczęściej stosują tę karę. Nieszczęśliwiec złapany przy takiej próbie ucieczki zazwyczaj ma już w ogóle dość życia: po pierwsze, wie, co go czeka, a po drugie — skoro się ważył na próbę ucieczki w tych warunkach — to już się właściwie ustawił między życiem a śmiercią. Toteż niektórzy ze złapanych miewali to szczęście, że ich na miejscu zastrzelono lub postrzelono śmiertelnie (myślę, że takich wypadków jest dużo, znacznie więcej, niż o tym wiemy); inni — bywali od razu przez rozwścieczoną straż zatłukiwani na śmierć. Innym znów — niekiedy — udawało się wyrwać z rąk straży, rzucić na druty i tak skończyć, gdyż w nocy i w razie alarmu drut bywa pod prądem. Jednak pozostawali jeszcze zawsze najwięksi pechowcy, którym nie udało się osiągnąć śmierci przed karą i ci musieli właśnie kończyć życie w paradzie, na placu, pod chłostą publiczną.

Wszystkim nam utkwily te wypadki dobrze w pamięci. Szczególnie ostro pamiętam jeden. Był to młody jeszcze człowiek. Ustawiono go na placu na jakiejś prowizorycznie skleconej trybunie, na głowie miał kołpak błazeński, a za kołnierz wsadzono mu drąg z przytwierdzoną do tego tablicą i szatańskim napisem: „*Ich bin wieder da!*” („Jestem znów tutaj!”). W ręce dano mu bęben i gdyśmy się już przyjrżeli nieszczęśliwemu na trybunie, oprowadzono go przed frontami wszystkich bloków, nakazując bębnić. Potem zaś zaprowadzono go z powrotem na to podniesienie i tam sześciu zbrojów zatłukło bezbronnego człowieka na śmierć kijami.

Kara, Więzień, Więzienie,
Strach, Morderstwo, Bunt

W dniu tej właśnie kaźni było nas w Oświęcimiu prawie 12 tysięcy. Więc tyle ludzi stało w szeregach, bez ruchu, bez drgnienia; z oczami utkwionymi w naszego nieszczęsnego towarzysza, w ofiarę. Mówiłem potem o tej sprawie z wieloma ludźmi, o różnych poziomach wykształcenia, kultury, z różnych środowisk — reakcja była identyczna: „Że musieliśmy stać! Patrzeć na to!... Zezwolić!...” Bo przecież każdy z nas zdawał sobie sprawę, że jest nas tyle tysięcy Polaków-więźniów i zaledwie kilkuset oprawców, licząc wszystko razem: SS, wojsko itd. Więc gdybyśmy się porwali?!... Ale oni mają karabiny maszynowe, wszelką broń, alarmy, telefony... Nie zostałby żaden z nas przy życiu! A jednak — a gdyby — może?... Gdybyśmy nie byli tak zaciśnięci w szereg, bez ruchu, bez drgnienia, prawie bez tchu?... Gdyby nas tak nie wy-tre-so-wa-no?... Gdyby się odważyć?!... Nie wiem, wielu tak wtedy myślało razem ze mną. Ale sądzę, że na pewno kilka tysięcy. Albo jeśli nawet nie myślało świadomie, nie ważyło w mózgu tej alternatywy, to czuło całym jestestwem, wszystkim, co w nas pozostawało z człowieka, że przeżywamy w tej chwili więcej, niż własną śmierć.

Teraz, kiedy już wiem, że muszę tu w domu umrzeć, widzę wyraźnie, jaka to będzie *lekka sprawa* w porównaniu z tym, co przeżywać musieliśmy wtedy na tym placu, no i w ogóle w Oświęcimiu.

Samobójstwa w Oświęcimiu — wbrew temu, co tu mówią w Warszawie — są niewątpliwie rzadkie. Jednak jesteśmy, Polacy, bardzo odporni. Kolega, który znał inne obozy, opowiadał, że często popełniali samobójstwo w obozach i Czesi, i Niemcy. W Oświęcimiu za mego pobytu było tylko parę wypadków rzucenia się przez więźniów na druty: było wiadomo, że straż w tym wypadku musi strzelać, bo może przypuszczać chęć ucieczki. W wypadkach, o których wiem, zamiar był samobójczy.

Do kar zarządzonych z góry przez władze obozu należy szczególnie rozpowszechniona, bardzo dotkliwa dla nas kara: zbiorowych karnych apelów. Zwłaszcza w porze chłódów apele karne są niewątpliwie źródłem masowej, zaostrzonej śmiertelności. Taki apel w pierwszych miesiącach mego pobytu — 28 października, w dzień wyjątkowo wietrzny i zimny — kosztował życie osiemdziesięciu więźniów. Część umarła tej samej nocy, reszta w odstępie doby, paru dni. Byliśmy bowiem jeszcze w letnich drelichach, wróciliśmy właśnie z pracy w południe i natychmiast zarządzono karny apel: jak mówili, zawieruszył się gdzieś jeden więzień. Trzymano nas, zgrzanych od wysiłku przy pracy, głodnych, w ciągu sześciu godzin bez ruchu! To się stoi bez drgnienia, na mur, na baczność, po wojskowemu. Za każdy najmniejszy dostrzeżony ruch — bicie, bicie, dzikie, wściekle, nieludzkie. Bo przy okoliczności karnego apelu wszelkie władze bywają wściekle, podminowane, no a władze mniejszego kalibru potrójnie starają się im wysługiwać.

Apele karne z wystawianiem na placu przez długie godziny są metodą stosowania tzw. „odpowiedzialności zbiorowej” za jednostkowe przewinienie. Więc, powiedzmy, w pewnym bloku znaleziono u jakiegoś więźnia tytoń (w bloku nie wolno palić); blok ma karny apel. Nie wrócił ktoś z pracy: albo blok, albo cały obóz ma karny apel, aż póki ten nie wróci. Czasem wrócić nie może, bo już umarł na atak serca lub zmarł w jakimś rowie czy dole: kiedy to zostanie ustalone, zwalniamą z apelu. Ale raz było, że staliśmy 4 godziny z powodu „zapodziania się”... nieboszczyka.

Podczas apelu częste są wypadki śmierci. Sam naliczyłem podczas kilku kolejnych apelów: 7, 9, 6, 11 zgonów „w szeregu”. Pochodzi to stąd, że konających zmuszają do wychodzenia na apel: to znaczy zdrowi muszą ich podnosić i ustawić w szeregu, względnie położyć na ziemi. Jeśli zaś tu następuje agonia — nikomu nie wolno pomóc konającemu, pochylić się nad nim, unieść mu głowę... Dzięki tym przeżyciom oraz ze względu na liche odzienie i wielkie wyczerpanie więźniów, apele karne są wielką plagą internowanych, jakkolwiek inne kary mogą być bardziej bolesne i bardziej poniżające poczucie godności ludzkiej.

Trzeba jeszcze wspomnieć, że w obozie istnieje specjalna kompania karna, całkowicie izolowana. Gdy ktoś z więźniów spoza kompanii karnej zagada do karnych, zostaje sam do kompanii tej włączony. Kompania ta składa się z więźniów, którzy z przeznaczeniem do niej przybyli już do obozu: z reguły należą tu wszyscy księża i Żydzi. Reszta składa się z więźniów, którzy byli już trzykrotnie karani w obozie. Oczywiście, kompania ta zajmuje odrębny blok, a dozór sprawują więźniowie, którzy przeszli specjalny „kurs” katowania. Tu w tej kompanii właśnie każdą pracę wykonuje się biegiem. Nie mają w niedzielę wol-

Samobójstwo

Kara, Więzienie,
Okrucieństwo

Kara, Więzienie

nego popołudnia (cały obóz je ma). Więźniowie z kompanii karnej oznaczani są czarnym kółkiem, naszytym pod numerem więźnia na bluzie i na nogawce spodni. Do tej kompanii wchodzi też (jeśli od razu ich nie zabiją!) ci, którzy próbowali ucieczki lub też przyłapani byli na kontaktowaniu się z zamierzającymi ucieczkę; tych — dla ułatwienia pracy dozoru — oznacza się nadto czerwonym kółkiem.

Za ucieczkę więźnia (oczywiście za udaną) rozstrzelano 10 osób z bloku, w kompanii karnej — 20. W związku z tymi faktami rozstrzelano za udaną ucieczkę przypominam mi się rzecz następująca: Jakoś wiosną r. 1941 udało się uciec więźniowi z naszego bloku. Niedawno w innym bloku zdarzył się taki sam fakt i wiedzieliśmy, że zaraz przyjdą do nas wybrać 10 osób na rozstrzelanie. Czekaliśmy. Istotnie, przyszli SS-mani i patrząc po naszych twarzach — zaczęli wywoływać ofiary. Gdy wywołano już trzech całkiem młodych ludzi, nagle z szeregu wystąpił starszek i poprosił, by rozstrzelano go zamiast młodego człowieka (był to stary pedagog, zdaje się, że nawet emerytowany profesor jednego z naszych uniwersytetów). Nie udało mi się dowiedzieć jego nazwiska, był zresztą niedługo w tym bloku. SS-man zgodził się, odliczył starca i dobrał sobie do niego 9 innych, dokładnie wybierając teraz kwiat męskiego wieku. Wyprowadzono ich, ale po krótkim czasie powrócili: komendant obozu miał ich z powodu wystąpienia profesora ulaskawić! Wydawało się to wręcz nieprawdopodobne, ale przecież wypadki takiego ofiarowania się na śmierć za innego nie zdarzają się co dnia. Prawie uwierzyliśmy i cóż to była za radość!... Ale po chwili wiedzieliśmy już, jak sobie poradził w tym ekstra-wypadku sadyzm niemiecki: „ulaskawionych” wyprowadzono do bunkra. Otóż z tej dziesiątki po trzech dniach ciemnicy siedmiu powędrowało do krematorium, w tej liczbie oczywiście i bohaterki starzec. Więc komendant obozu zamienił im łżejszą, szybką śmierć od kuli na cięższą i straszliwszą — od tortur i głodu w ciemnicy.

Kara, Ofiara, Poświęcenie,
Okrucieństwo, Bohaterstwo

*

Pisałem, że trzeba wyodrębnić od kar normalne bicie. Nie dlatego, by miało to być bicie niewinne; zatłukiwanie na śmierć przy tym „normalnym” biciu jest na porządku dziennym. Ale dlatego, że jest to czynność leżąca w innej płaszczyźnie. Bo bicie dla Niemca z SS jest tym, czym była brzydka połajanka, wypominająca obelżywie matkę w carskim rosyjskim wojsku, podług opowiadań starszych ludzi. W obozie biją — nie można powiedzieć codziennie, tylko co chwila. Spoliczkowanie, cios szpicrutą lub gumą, kopnięcie butem w kostkę, kolano, rzucenie na ziemię i skopanie po ukochanych przez katów nerkach — to jest rzecz nagminna, powszechna. Biją przy każdej i często bez żadnej okazji, dla sportu, dla treningu, dla triumfu niemieckiego władztwa, rasy i kultury, gwoli poniżenia „mało wartościowej” rasy Polaków, gwoli nauczania nas pokory, czci i posłuszeństwa dla władz niemieckich. Biją, jak pisałem, prócz wszystkich Niemców, tj. straży obozowej — również więźniowie mianowani przez Niemców „starszymi”, a więc „unterkapowie”, no i starsi sztub i bloków. Od tego bicia „pozaregulaminowego” idą ludzie często do szpitala, częściej do grobu lub też wrócą do domu, jak np. ja ze zmiażdżoną nerką, bez której się nie da żyć. Odbijają nam przy biciu mięśnie od kości, przyczyniają uporczywych odśrodkowych wrzodów, wiecznie ropiejących ran itd. Często też biją w głowę. Nikt nie obliczy, jaki odsetek umiera wskutek tego bicia, ale na pewno znaczny.

Przemoc, Okrucieństwo

To bicie jest dlatego straszną plagą, że nie ma na nie rady. Jest nieodłączne od SS i od obozu. Musi się — podług nich — bić, bić stale, ciężko, nieustannie.

*

Ale gdy tak o tym piszę, to myślę, że nie to jest najważniejsze, że biją, tylko nad tym się trzeba zastanowić, co to się może dziać w Oświęcimiu z niektórymi naszymi ludźmi, iż ulegają tak paskudnej demoralizacji.

I tę właśnie kwestię — póki sił starczy — chciałbym poruszyć otwarcie.

Napisałem, że bije więźniarska starszyzna, a w Oświęcimiu — to Polacy. Dla przyczyn już wyżej wyluszczonej — Polacy znający niemiecki język.

IX

Rodzice nie mogą opanować, zatamować ruchu znajomych, związanego z moim powrotem. Zresztą w stosunku do licznych naszych krewnych, przyjaciół, bardzo bliskich i dawnych znajomych, nie byłoby to możliwe. Pewne restrykcje pod tym względem ustalił lekarz. Poza tym bardzo czujnym i inteligentnym regulatorem czasu, wizyt, treści rozmów itp. są sami rodzice, którzy rozpoznają się już świetnie w moich bardzo szczupłych fizycznych zapasach sił i w moim ciężkim nerwowym stanie. Zasadniczo też — od kiedy zacząłem pisać — uchylam się od opowiadania. Jednak coś nie coś, parę słów, odpowiedź na jakieś pytanie — tego nie sposób uniknąć. Muszę też zawsze *wysłuchać* dużo rzeczy *na temat* Oświęcimia.

Wobec niebywałego *umiarkowania* słów, jakimi *tam* wyrażamy nasze stany, jakże razi ten patos, ta przesada, z jaką tu — najlepsi zresztą ludzie — traktują tę całą kwestię. Te rozmowy uwydatniły mi, że muszę się postarać napisać o więźniach Oświęcimia, wyjaśnić, o ile zdołam, kto to są ludzie tam zamknięci, jak mogą wyglądać i czego się po nich można spodziewać. Bo traktowanie nas wszystkich w czambuł jako bohaterów narodowych, wydźwiganie nas wszystkich na jakieś nadludzkie szczudła ofiarności, patriotyzmu, męstwa, charakteru itp. *klóci się z tą obiektywną prawdą*, że siedzą tam zwyczajni, bardzo nieszczęśliwi dziś ludzie; muszą trwać w potwornych warunkach, które w pewnych jednostkach wywołują reakcje bohaterskie, w innych — rozwijają najpodlejsze instynkty, w większości zaś wypadków — instynkt samozachowawczy podpowiada te lub inne sposoby przetrwania...

Wczoraj odwiedziła mnie narzeczona, miła, oddana dziewczyna, w oczach której zresztą, gdy teraz patrzy na mnie, widzę tylko przerażenie. Ha! Miło to oglądać kościotrupa! Przyszła z nią jej matka.

I ta właśnie złożyła przy moim łóżku ręce, jak do modlitwy, lzy (niefalsyfikowane) potoczyły się po (dobrze zakonserwowanych) policzkach...

— Synu! Synu! Chyba to wiesz, że cała Polska, wszyscy, wszyscy patrzymy na was, jak na świętość... świętość... narodowych bohaterów... pierwszych męczenników chrześcijaństwa!!!

Byłem greczny, patrzyłem na Hankę, pocałowałem (niedoszłą) teściową w rękę, milcząc. Ale grysik, który mi przyniosła matka, nie mógł przejść mi przez gardło.

*

Więc wracam do kwestii zachowania się obozowej starszyny.

Trzeba zaznaczyć, że porządny Polak, oczywiście, nie kwapił się do obejmowania urzędu starszego sztuby. Jednak wiem, prócz wypadku, który sam przeżyłem, o innych jeszcze, gdzie starszy sztuby pozostawał przyzwoitym człowiekiem i Polakiem: oczywiście należeć do takiej sztuby to już przywilej, zwłaszcza, jeśli całość tak się przypadkowo dobrała, że nie było złodziei, donosicieli itp. kanalii. W takich wypadkach starszy utrzymywał cały porządek bez żadnego bicia i współzycie bywało bardzo dobre.

Większość starszych — to oczywiście ludzie bez wartości, którym to stanowisko pozwala na wyżywanie się charakteru w sensie kryminalno-sadystycznym. Wśród Ślązaków zaś jest sporo ludzi zniemczonych, których orientacja ogólna została całkiem zachwiana.

Nie chciałbym być tak zrozumianym, że każdy starszy sztuby lub bloku, każdy „*capo*” — bije. Na pewno wielu może być wolnych od tego zarzutu. Nie wszyscy biją. Ale biją większość, biją nagminnie, bije też często taki, który w pierwszych miesiącach swego urzędowania nie bił. Jest to naszą wielką bolączką, że starszyna obozu, wyłoniona spośród nas samych, przedstawia się jednak *na ogół* bardzo nieszczególnie i w postępowaniu z więźniami wzoruje się na sposobach straży niemieckiej. Zresztą — i poza starszyna — nie brak wypadków ześwinienia się, szpiclowania, donosicielstwa, złajdaczania więźniów, nikczemnego wysługiwania się itp. Nie chcę pograżać się w szczegóły takich wypadków, tylko chcę się postarać o pewne obiektywne wyjaśnienie. Bardzo więc błędne jest mniemanie, któremu dała wyraz wczoraj owa dobra pani, że więźniowie Oświęcimia to stuprocentowi bohaterzy. Nic głupszego nad taki sąd! Skądże? Są to *przygodni*, *zgarniani*

z wsi i miast, ulic, kawiarn i mieszkań ludzie, zwyczajni ludzie, *przeciętni ludzie*, „*jak leci*”. Bo Niemcy zastosowali u nas właśnie tę metodę masowego terroru, sterroryzowania przeciętnego, „szarego” człowieka. Obrali tę drogę po pierwsze dlatego, że pomimo największych wysiłków nie udało się im podobno dotrzeć do istotnie aktywnych politycznie, świadomych kół. Po drugie — w słusznym przekonaniu, że terroryzując masowo, byle kogo, *przygodnych z ulicy ludzi*, uderzą w środowiska mniej odporne, łatwiejsze do złamania — czy to w osobach więźniów czy też ich rodzin, że tym sposobem posieją wielką groźbę, osiągną wielkie zastraszenie.

Oświęcim jest więc zbiorowiskiem przygodnych ludzi, wśród których, istotnie, polityczni, aktualni działacze polskiego podziemia stanowią zapewne ponad kilka procent. Skoro zaś większość to ludzie przygodni, którzy się ani przygotowywali ani sposobili do — powiedzmy wprost — *męczeństwa*, trudno się dziwić, może tu mieć miejsce znacznie większa ilość załamania, poślizgnięć, upadków moralnych itp. niż byłoby to w środowisku ludzi świadomie idących na akcję wraz z jej następstwami. Poza tym wśród łapanych do Oświęcimia „*jak leci*” — musiano przecież zagarnąć w tym i różne notoryczne męty, opryszków, złodziei, rozmaitych bandyciaków, ludzi niedorozwiniętych moralnie, doszczętnie zepsutych przez poprzednie życie itd. Do Oświęcimia trafili też i różni pomagierzy Niemców, wspólnicy ich w łapówkach, finansowych interesach, jeśli ich chciano — po zużytkowaniu — skończyć; również i różni „sypacze”, zdrajcy, tchórze — po wyzyskaniu ich zeznań — bardzo często „w nagrodę” otrzymywali Oświęcim.

Gdy sobie to wszystko uprzytomnimy, dużo rzeczy wyda nam się w innym świetle. Ja sam w Oświęcimiu inaczej osądzałem różne załamania i ześwińienia wśród naszych, niż je teraz sądzę. Teraz — oczywiście dlatego, że mogę tu myśleć! — mniej mnie to boli, oceniam to spokojniej. Chciałbym zostać dobrze zrozumianym. Chcę powiedzieć, że to, co zaczerpnięto z naszego narodu do Oświęcimia, na pewno nie jest i nie może być żadną „śmietanką”. Przeciwnie, czerpiąc, jak czerpali, musieli otrzymać przeciętny przekrój. Owszem, osiągnęli może tą metodą — okresowo — pewne zastraszenie, sterroryzowanie. Okresowo i niezbyt wielkie. Ale nie osiągnęli żadnej decydującej zdobyczy. Bo i ten element — przygodnie zgarnięty — okazał się *w swej większości dość tęgi, żeby potrafić się naleźć zachować*. Już zaakcentowałem, jak wyglądało zachowanie złapanych w koszarach warszawskich. To samo muszę z naciskiem powiedzieć o masie więźniów Oświęcimia. Donosiciele, szpicle, wysługusy — to są jednostki, może być takich kilku w każdym bloku, ale reszta?

Na ten temat rozmawiałem nieraz z moim przyjacielem. Był to, jak wspomniałem, wiejski chłopak; miał za sobą niepełną szkołę powszechną, ale bardzo dużo życiowej inteligencji z przyrodzenia i skłonność do głębokich zastanowień. Miał przy tym w sobie wielką pogodę, wielki zapas, prawdziwy skarb. Trzeba więc było go zabić, bo inaczej nie daliby mu rady: przetrzymałby.

Raz wieczorem zirytowałem się okropnie na pewnego przygłupka — synka kupieckiej rodziny — który najspokojniej wywodził, że się spodziewa lada dzień zwolnienia, gdyż wie, że matka nie zaniedba żadnej drogi i tak sobie wyrozumował, że matka zwróci się o łaskę do samego kanclerza Hitlera! Był to typ głupi, mało rozwinięty, choć znający kilka języków; panicz, życie którego dotychczas streszczało się do kopania piłki i dancingu. Nie było też z kim mówić, ale tak się stało, że gadałem, nawymyślałem mu; wykopałem jego siennik jak najdalej od siebie; siedział sam, nadąsany, obrażony, zły.

— Po co czepiasz go? — spytał Jacek, układając się ze mną do snu na wspólnym sienniku. — Ma taką mordę... no i wiesz, po szwabsku gada! Gotów na ciebie donieść!

Nie posądzałem o to przygłupka, ale było mi to w tej chwili obojętne. Kipiałem! Nawiązując do słów Jacka, począłem utyskiwać, że takie tu są typy, że każdy może donieść itd.

Wtedy Jacek zareplikował bardzo poważnie:

— Ty się zawsze przejmiesz małą rzeczą, a przez to ci wszystko się wykrzywi. Gdzie to widzisz, żeby nasi ludzie byli tacy źli? Tacy są... powszedni, szarzy, przeważnie skromni ludzie... Ale nie widziałem ani żeby który przed Niemcem klęknął, ani żeby w rękę pocałował, co?... Gdzie to widzisz!... Na apelach stoimy, marzniemy, tyle potem umiera, a czy słyszysz przez te godziny jaki płacz czy prośby, czy przymilanie?... Prawda, że nie

pomogłoby, ale i nikt nie próbuje z takiej masy ludzi poniżyć się!... O, z tego widzisz, trzeba sądzić nasz naród!!!

Często, często po śmierci Jacka przypominałem sobie te jego słowa, pełne głębokiej wiary i coraz bardziej musiałem uznawać ich słuszność.

Ale i sama śmierć Jacka, chłopaka ze wsi, była właśnie świadectwem tężyzny przeciętnego Polaka, o którą załamują się starania Niemców. Zasługuje też, by ją tu opisać, choć wtedy ból i żal po Jacku przesłonił mi wspaniałą wymowę jego śmierci.

Jacek był silnym, rosnącym chłopcem i przydzielono go od razu do robót budowlanych. Świetnie sobie radził z każdą pracą; spokojnie a sprawnie wykonywał wszystko, co do niego należało i „*capo*” (z niemczony, paskudny Ślązak, którego zesłano tu przez jakieś nieporozumienie) był z niego wyraźnie zadowolony. Rzadko kiedy szturchnął Jacka, a jeśli SS nie widzieli, to nawet lubił się nim nieraz wyręczyć. Ślązak naogowo pijał i trzymał sztamę z Niemcami, którzy od czasu do czasu, w niedzielę, używali mu tej możliwości. Toteż w poniedziałki „*capo*” nie czuł się zdolny do zwyczajnej pracy ani bystrego nadzoru, wolał sobie przywarować gdzieś pod murkiem i drzeć. Gdy zaś jakie okoliczności stały mu na przeszkodzie, wpadał w niesamowitą wściekłość i nieludzko tłukł więźniów. Wypadł właśnie taki „niezdarzony”, zły poniedziałek. Dwaj więźniowie z trzecim Jackiem wychodzili do pracy, zaraz po apelu, z taczkami. „*Capo*” przyczepił się bez żadnego powodu do towarzyszy Jacka, zaczął im wymyślać i spoliczkował ich. Jacek stał i czekał aż mu minie, patrzył przy tym spode łba, jak zawsze, gdy kogoś potępiał. (Nie byłem obecny, szczegóły znam od jednego z więźniów). Nagle „*capo*” przyskoczył do Jacka z krzykiem: „Co? nie podoba ci się?... Może sam chcesz?” i wyrznął go w twarz. Jacek na ogół spokojnie znosił bicie. („Jak już trafiło się im w ręce — mawiał — wiadomo, że będą bić”). Ale na pytanie powtórne: „Podoba ci się?”, czy się zaciął, czy miał tego dnia dość — odpowiedział zawzięcie, głośno: „Nie!!” Wtedy capo dał mu jeszcze kilka policzków, a że musiał sam się czuć głupio, bijąc tego spokojnego chłopca i doskonałego robotnika — nagle jakby się urwał, zakręcił się na miejscu, rzucił jednego z towarzyszy Jacka na taczkę, kopnął drugiego i znów przyskoczył do Jacka: „Nie podoba ci się?... To sam bij ich! Ja ci każę! Bij! Bij natychmiast!”

Ku osłupieniu paru przymusowych świadków tej sceny — Jacek odpowiedział tak samo stanowczo i spokojnie: „A to — nie!! Nie będę!!”

Capo podobno osłupiał, głupkowato zaśmiał się, machnął ręką... Może całe zajście rozszło się po kościach, ale... Dostrzegł to z daleka Niemiec, SS.

— Jacuś! Jacuś! Bijże mnie! Uderz!... — zaszeptał jeden z więźniów. — Niemiec leci! Ale Jacek stał wyprostowany, ani drgnie.

Niemiec nadbiegł — był to młody „szturmowiec” — spytał Ślązaka o rzecz. Tamten służbiście wyjaśnił mu: ten młody nie chce na jego rozkaz bić tamtych dwóch.

„Spytaj go dlaczego”, wrzasnął Niemiec. Ślązak powtórzył Jackowi, dodając od siebie: „Nie bądź głupi!!”

Jacek na to spokojnie, z naciskiem: „Nie będę bił swoich”.

Wtedy Niemiec bez słowa wyjął rewolwer, z odległości trzech kroków zastrzelił Jacka i nie oglądając się, poszedł.

Capo zawołał dwóch więźniów z pobliza (swoim kazał ruszyć z taczkami) i kazał odnieść ciało do krematorium.

Jacek już nie żył.

Niemiec zrozumiał, o co poszło Jackowi. I to jest też przyczynek o sądzie o niemieckiej kulturze! Nasz Jacek wolał umrzeć, niż sponiewierać rodaków. Młody Niemiec, jego rówieśnik, Hitlerjugend wychowanek, zatracił już zupełnie poczucie wszelkiej wartości moralnej: wściekłość z powodu, że Polak śmie się sprzeciwiać, uderzyła mu momentalnie do głowy, nie zawahał się nawet sekundy, zabił.

Jacek mógł przetrzymać obóz. Nie przeziębiał się, był bardzo silny, nie imają go się wszy. Taki był żywotny, że przez wiele, wiele czasu, budząc się w nocy, szukałem go koło siebie na sienniku. Czasem, przed ranną pobudką, budząc się ze snu, miałem dokładnie wrażenie, że siedzi obok mnie, ubierając się. Lubiał tak obudzić się przed wszystkimi, posiedzieć spokojnie i podumać.

Byłby przetrzymał obóz.

Chłop, Więzień, Przemoc

X

Po Jacku, którego nie można zapomnieć, sąsiadem moim na sienniku był starszy człowiek, w życiu buchalter czy pomocnik buchaltera, na obozie — pracownik kuchenny. Dlaczego ten człowiek przy tej pracy kuchennej wciąż się przeziębiał i chorował — nie rozumiałem. Podobno był chory już na wolności. Tu, przy mnie, chorował na tę najdokuczliwszą dla sąsiada chorobę: nietrzymanie moczu! Cóż to była za męka! Doświadczyłem jej w całej pełni. Rzadko która noc była „sucha”. Poza tym, jeśli się udało rano ukryć mokrą plamę, trudniej było poradzić ze zjadliwym zapachem moczu. Stale wykrywano nas i dostawaliśmy obaj. Było mi go żal, ale też obrzydł mi dokumentnie. Odetchnąłem prawdziwie, kiedy po paru tygodniach wypuszczono go i sporo innych. Zrobiło się luźniej i otrzymałem cały siennik dla siebie.

Buchalter był uciążliwy nie tylko z powodu opisanej wady, ale nadto ciągle jęczał. Nim zasnął i skoro się obudził, wydawał natychmiast szept: „Boże, Boże! Wszystko przepadło!”

Miał szczęście, pracę lekką, ani razu nie został poważniej okaleczony, a ciągle tak jęczał i stękał. Z rozmowy dowiedziałem się, że nic mu się nie stało w tę wojnę: ani mieszkania, ani posady nie stracił; nikt z rodziny nie ucierpiał, nikt nawet nie poszedł na wojnę. Dwudziestoletni syn (chyba idiota!) przesiedział wrzesień pod matczynym fartuchem. Prócz zadawnionej choroby pęcherza staremu istotnie nic nie dopiekło. Do Oświęcimia trafił wprost z kawiarni, gdzie codziennie (od osiemnastu lat) był popołudniu na pół czarnej i gazetce. Myślę, że i po zwolnieniu typ ten będzie jęczał swoje: „Boże, Boże! Wszystko przepadło!”

*

Niektóre typy ludzkie w tym Oświęcimiu nabierają szczególnej plastyki. Może i dlatego, że tło z konieczności jest szare. Większość bowiem internowanych znajduje swą obronę w *wewnętrznym przyczajeniu się*, zahamowaniu wszelkich zbędnych odruchów i dzięki temu niweluje się to ogólne tło ludzkie. Zresztą taktyka taka jest zupełnie dobra, jedynie właściwa; każdy, kto przebył w obozie ponad kilka tygodni, wie już niezawodnie, że najmniej prześladowań ściąga na siebie *człowiek średni* w każdym sensie, niewyróżniający się niczym szczególnym: ani piękny, ani brzydki, ani najmocniejszy, ani najsłabszy, ani szczególnie zręczny, ani wybitnie niedołężny. Stuprocentowo silnych, wspaniałych Polaków Niemcy-sadyści zatłukują na śmierć ze szczególną przyjemnością. Pastwią się też (to już chyba wynika z istoty samego sadyzmu!) nad szczególnie niezaradnymi fizycznie, całkiem niezdolnymi do żadnej pracy ręcznej, bardzo chorymi, bardzo nieszczęśliwymi ludźmi. Każdy też z nas po pierwszych doświadczeniach już zaobserwował, że gdy biją — należy opanowywać swą reakcję na ból, powstrzymać ile mocy krzyk lub jęk, skrzywienie, drżenie itp. Bo jaskrawa reakcja na ból i bicie niebywale rozjątrza i rozpala katów. Oczywiście, takie opanowywanie odruchów wymaga silnej, skoncentrowanej woli. Ale też wszyscy w Oświęcimiu dochodzimy do przekonania, że trzeba *mocno chcieć* przetrwać, wytrzymać: to broni!

Więzień, Okrucieństwo

*

Pierwszym moim „sztubowym” był starszy człowiek z województwa łódzkiego, zdaje się administrator jakiegoś majątku czy folwarku, który z czasów poprzedniej wojny — czy też ze szkolnych — posiadał język niemiecki i swobodnie nim władał. Nie wiem, co sprawiło, że został mianowany starszym sztuby, bo już go zastałem przy tej godności, ale słyszałem, że miał podobno kiedyś przyjaciela-Niemca, który obecnie wstawiał się gorliwie za nim i osobiście pisał do komendanta obozu z prośbą o polepszenie mu warunków. Obserwowałem go ze trzy miesiące, gdyż potem go zwolniono. Był to człowiek mało inteligentny, w życiu pewno raczej przyzwoity, który tu usiłował wpierw godzić swe sumienie Polaka z dążeniem do nienarażania się Niemcom. Początkowo nigdy nie uderzył sam więźnia. Tylko, gdy stwierdził jakie zaniedbanie lub przewinienie, natychmiast zaczął dziko krzyzczeć, tym okropniej, im bliżej mogła być władza. Gdy zaś władza zjawiała się w sztubie, zagadywał ją, drobił przy niej małymi kroczkami, zapobiegał, jak umiał,

Urzędnik, Więzień,
Przemoc, Przemiana, Polak,
Niemiec

wybuchom złego humoru władzy, z nikłym, proszącym uśmiechem patrzył SS-manowi w same oczy. Ponieważ zaś przy tym umiał poprawnie zameldować, uzyskać przyjęcie raportu i zawsze prawidłowo się wyjęzyczyć, na ogół udawało się to wszystko bez większych konfliktów. Może też działało owo wstawienie się Niemca, a może był to człowiek w typie swym Niemców niedrażniący. Jednak po miesiącu dostał od SS-mana w twarz przy meldunku, ot tak, dla formy, dla treningu, raz i dwa, z jednej, drugiej strony — aż klasnęło! Jeden z więźniów, idiotowaty chłopak, nagle nerwowo zachichotał. SS-man drgnął, skoczył, rozpoznał śmiejącą się twarz, wywłócił go na środek sztuby i rycząc, że mamy szanować naszego starszego, powalił go na ziemię i skopał nogami. Patrzyłem na starszego: sekundę stał nieruchomo, po czym skoczył ku leżącemu i kopnął go też butem. Twarz miał przy tym czerwoną, oczy dzikie: widać stracił panowanie nad sobą. Niestety, miało to głębsze skutki. Od tego dnia bił owego chłopaka przy każdej okazji, gdy zaś ktoś się o niego upomniał — uderzył i tego.

Wieczorem, po skończonym dniu, podeszło do starszego sztuby trzech poważniejszych więźniów i dłuższe kilka minut przekładali mu, by poniechał bicia rodaków. Zdało się, że go przekonali: ścisnął im ręce, pocałowali się, wyglądał wzruszony¹³.

Jednak strach przed własnym pobiciem okazał się silniejszy. Wprawdzie po wspomnianej rozmowie przez dłuższy czas nie bił, ale pewnego dnia, kiedy groza złych humorów władz wisiała od rana nad obozem, nasz starszy uszeregował nas do apelu, po czym dziwnie się zaniepokoił, pobiegał tam i z powrotem, jął nasłuchiwać; gdy zaś z dala doszedł nas gardłowy wrzask Niemców — zbladł, zadygotał i zaciskając usta, podleciał do nas i schlaśtał kilkunastu po twarzy. Dostałem wtedy i ja i spodziewałem się tego, tak iż odebrałem to niemal „na zimno”, mogę to stwierdzić, że człowiek ten, bijąc, starał się nie patrzeć nam w twarz, odwracał oczy. Zrozumiałem, że przez taką demonstrację tresowania sztuby, zabezpiecza się sam... I istotnie się zabezpieczył: władze potraktowały go tym razem całkiem przychylnie.

Sądzę, że ta opisana scena dostatecznie charakteryzuje już sylwetkę mego pierwszego starszego sztuby. Dodać należy, że niedługo po tym wypadku zwolniono go, no i spodziewał się tego zwolnienia: był widać o tym przez kogoś zawczasu powiadomiony. Otóż przez ostatnie dwa tygodnie czuł się w stosunku do nas bardzo skrzepowany. Mój Boże! Może pomyślał o tym, że przecie niebawem, na wolności, przypadek może go zetknąć z kimś z naszej sztuby, świadkiem albo ofiarą jego wybryków?... Może świtało mu w mózgu, że w przyszłości, w Polsce nie będzie dobrze wyglądał, gdy się ludzie dowiedzą, jak wysługiwał się Niemcom. Tak czy inaczej, stał się bardzo względny, ludzki, starał się przez ostatnie dni osłaniać nas, ile mógł; podejmował się na wolności pozalać ludziom różne polecenia, prośby; przyrzekał różności.

Byłem świadkiem, że usiłował przeprosić nawet owego chłopaka, którego kopnął nogą i potem przez dłuższy czas prześladował. Była to też scena, którą opiszę. Stałem właśnie przy chłopaku, gdyż ten otrzymał od swego „*capo*” nadprogramowy kawał chleba i zainteresowałem się, w jakich to się zdarzyło okolicznościach.

Chłopak nie zdążył jeszcze nic powiedzieć, gdy właśnie nadleciał starszy sztuby, z roztargnieniem rzucił na mnie okiem, ujął chłopca za ramię i bąknął coś w rodzaju:

— Ty... wiesz?... Wtedy się nie spisałeś!... Ale ty... Chcę, żebyś wiedział, że... Nie chciałem wtedy twojej krzywdy!... Sam wiesz, jak tu jest... No i żebyś nie był zły!

Chłopak wysłuchał spokojnie, patrzył z ukrywaną wesołością, potem otworzył blade, szerokie, głupkowate wargi i powiedział tak:

— Nie szkodzi — potem uśmiechnął się.

— Co gadasz? — wtrąciłem oburzony. — Nie szkodzi!! Zgłupiałeś do reszty? Nie rozumiesz? Starszy się prawie żegna z nami, no i poczuwa się... Wie... Nie chciałby...

Słowa porwały mi się pod wpływem upartego patrzenia tych oczu chłopca, z trudem opanowujących wesołość.

— Nie szkodzi — powtórzył spokojnie chłopak.

Starszy sztuby spojrział na mnie uważnie, z wyrzutem i niechęcią, chłopca klepnął przyjacielsko po boku i szybko się wycofał. Ja również odchodziłem, utraciwszy wszelką

¹³wyglądał wzruszony — wyglądał na wzruszonego. [przypis edytorski]

chęć do rozmowy z tym głupcem. Tymczasem chłopak dopędził mnie, chwycił za rękaw, przytrzymał, obrócił twarzą ku sobie i wprost w twarz mi wyszeptał:

— Gniewasz się?... Balesz się, że mu chcę przebaczyć? Nie taki ja głupi, jak się wydałem z tego śmiechu i w ogóle... My z jednego starostwa z tym panem starszym! Ja go z wolności dobrze pamiętam... To ja, wiesz, jeśli tylko wyjdę i doczekamy... wiesz?... To ja swoich chłopaków namówię, dobrych kolegów mam... Tak go oporzędzimy za to, jaki tu dla nas był, wiesz, jak się patrzy!... Potrafię kopać jak on i napatrzyłem się, jak to oni tu lubią: w nerkę!... Rozumiesz?...

*

Drugi mój sztabowy to był tylko króciutki, świetlany epizod: młody harcmistrz, rodem z Pomorza, uchodźca, złapany w Warszawie. Natychmiast po mianowaniu miał do nas przemowę pierwszego wieczora, gdyśmy zostali już na noc sami w sztabie. Powiedział, że wolałby wszystko, jak to; że rozumie, że widzi, co się wyprawia z naszymi ludźmi na tych stanowiskach. Że jednak — wiemy, przecież odmówić nie można. Prosi więc nas — wszystkich zbiorowo — żebyśmy mu dopomogli: sprawnie wykonujemy wszystko, co będzie do nas należało, żeby możliwie unikać konfliktów; on zaś daje nam słowo Polaka, że będzie przy nas wiernie stał, że się nie zapomni, że... Może razem jakoś przetrwamy!...

Było to bardzo ludzkie, młodzieńcze, prawe przemówienie. Zdawało się, że cała sztaba była wzruszona. Słyszałem szepty: „No, doprawdy! To morus! Musowo starać się, nie podprowadzać go” itp. Następnego zaraz dnia przypadek nadarzył wałą próbę naszego nowego starszego. Przy rannym apelu (gdy sprawdzał sam naszą liczbę) zabrakło jednego. Starszy zbladł jak papier, bąknął, słyszeliśmy: „Nieszczęście!”...

Wszyscy przecież wiedzieliśmy, co otrzyma sztaba i blok za taką rzecz. Szukać, biec nie było już czasu. Poszedł zameldować blokowemu. Potem stał spokojnie, bardzo smutny. Coś w sobie ważył. Ustalił sobie dokładnie, którego właśnie brak...

Władze zbliżyły się już do naszego bloku. Nie było sposobu! Była to chwila dramatyczna. Gdy starszy bloku raportował, zauważyliśmy, że nasza zguba nieznacznie potrafiła się wślizgnąć do szeregu. Oczami, mimiką twarzy zmusiliśmy starszego dostrzec, że ten już jest. Wtedy starszy zbladł jeszcze bardziej i jaszcz bardziej wyprostował się na baczność.

SS-man spieszył się w tym dniu, niedbale pominął raport bloku, ale odliczył właśnie w sztabie, nie zabrakło nikogo. Wtedy sobie przypomniał, że w meldunku bloku... Podwołany blokowy dostał po głowie gumą i slaniając się, ustąpił na stronę. Wtedy nasz starszy z rezygnacją wysunął się jeszcze bardziej na front. SS-man — nie bardzo, jak widać, przytomny — dopiero skombinował, że stąd poszło całe zamieszanie.

— Aa — zawrzasnął — to ty się tak spisujesz, gdy cię obdarzyliśmy zaufaniem? Ty, starszy sztaby?! — Zaczął go bić po twarzy. Harcerz stał niewzruszony. — Który to szubrawiec? — wrzeszczał Niemiec. — Daj mi go tu!... który?

I wtedy to właśnie — błyskawicznie — zdarzyła się ta jedyna rzecz! Starszy odpowiedział po niemiecku, aleśmy wszyscy zrozumieli:

— Nie wiem który... Brałem tylko z liczby — i potem —

Proszę mnie ukarać za to niedopatrzenie.

Patrzył Niemcowi wprost w twarz, choć własna jego młoda twarz broczyła krwią z rozbitego nosa i zębów. Niemiec zamilkł... spojrzął po nas... jeszcze raz na starszego i powiedział coś w rodzaju:

— Dobry początek! Zapisuję cię do protokołu!

Jednak jakoś na razie — nie zapisał. Bo następnego dnia nic się nie zdarzyło. Nasza sztaba nie wiedziała wprost, jak świadczyć swemu starszemu. Ale po dwu dniach zabrano go i dostał siedem dni „karnego”, jak dowiedzieliśmy się „za wygłoszone przemówienie!”... Więc któryś z nas, ze sztaby?!... Niemców nie było już wtedy w bloku. O, bylibyśmy go zadusili gołymi rękami, żeby tylko można było wiedzieć: kto?!... kto?!... Nie dowiedzieliśmy się. Siedziałem rok i nie dowiedziałem się.

A nasz starszy po sześciu dniach karniaka został odniesiony do krematorium.

Jeszcze bardziej wstrząsające było w nim to, że podobnie do Jackowego, jego bohaterstwo było jakimś nieświadome. To znaczy, u Jacka było całkiem nieświadome, u tego

Kondycja ludzka, Władza,
Służalność, Zdrada,
Odwaga, Śmierć

zaś harcerza, niezależnie od rozumowej linii w kierunku honoru, godności, koleżeństwa było jeszcze coś podświadomego: podświadomy instynkt męstwa.

Więziń, którego wybawił — ów zawieruszony w ubikacji, ciężko chory człowiek, nie o wiele przeżył swego wybawiciela: w kilkanaście dni skończyła go biegunka. Ale do śmierci samej wciąż tylko mówił o nim.

— Zdawało mi się, że nazwie mnie — i miałby słuszność; wiedział, że nie wyciągnę... Gdy tamten bił i wrzeszczał, on spojrział na mnie kątem oka... Skinąłem nawet lekko głową... A jego oczy — te jasne, bystre, takie ostre — zdawało mi się, zaraz powie! — nagle się zmąciły, cofnęły, no i wiecie... Zasłonił... Myślę, że to było coś podświadomie... Może nawet — rozumowo biorąc — powiedziałby, a w ostatniej chwili jednak nie mógł!

Tym uwagom starego adwokata, któregośmy w parę dni po harcerzu odnieśli do krematorium, zawdzięczam myśl o podświadomym bohaterstwie.

Oczywiście, tak świetlane typy, jak ów harcerz nie mogą się zdarzać często wśród starszyny obozowej. To się jednak na ogół bardzo źle daje łączyć, przyzwoitość, szlachetność, ludzkie traktowanie i ta władza nad własnymi towarzyszami.

Trzeci mój sztabowy (i ostatni!) był to typ ludzki całkiem nikczemny (pierwszego — sądzę, że to uwydatniłem — osobiście nie zaliczam do zdeklarowanych nikczemników, tamto był raczej człowiek słaby i tchórzliwy).

Ten trzeci był magistrem praw czy filozofii, warszawiak. Było to zwierzę ludzkie o skończonym wyższym wykształceniu, nieprzeorywującym nic w całej tępcie jego umysłu. Jak widać od dziecka (był to człowiek młody) zafascynowany był wielkością tzw. kultury niemieckiej; entuzjazmował się dla Hitlera i jego rządów; ubolewał, że w Polsce „nie okazało się Hitlera”... Nim jeszcze został starszym sztabu, rozmawiał z tym i owym z więźniów, gdy się dowiedział uprzednio, że ma do czynienia z człowiekiem „kształconym”. I wtedy wypowiadał czasem takie sądy. Ja w owym okresie rozmawiałem z nim raz jeden przez kilka chwil i nabrałem do niego skrajnego wstrętu. Zresztą rozmowa, jak się okazało potem, drogo mnie miała kosztować. Było to w dniu, w którym nagle zezwolono nam na zachowywanie własnego obuwia. Znaczna była to oczywiście ulga i w swoim czasie taka rzecz mogła stanowić o życiu wielu dziesiątków więźniów. Powiedziałem, stojąc w grupie kolegów wieczorem, że ulga ta jest, niestety, dla wielu spóźniona. Na co właśnie rzucił się magister i to od razu w takich słowach:

— Polska cecha!! Wszystko krytykować! Spóźniona! To może lepiej — wcale?... I co to ulga! To nie ulga, a wielka łaska!

Powiało po nas wszystkich mrozem.

— A któż to pan? — spytałem. — Nie Polak, że tak nam pan polskie cechy wypomina?! To już od razu się przyznam do jeszcze jednej polskiej cechy — że nie lubię łask... z tych rąk...

Magister zmierzył mnie z góry wzrokiem.

— Bardzo wygadanie, po warszawsku — powiedział. — Od razu wszystko na ostro, pstro, bzdro! Tak samo w głowach i stąd wszystko poszło, czym się teraz cieszymy! A ja jestem Polak — *ale Polak zachodniej kultury* — zakończył, wydymając wargi i odszedł. Więcej nie rozmawialiśmy, ale zapamiętaliśmy się dobrze.

Od chwili zamianowania bydłą to jęło zatłukiwać więźniów. Tak właśnie stosował swoją kulturę. Latał przy tym za Niemcami jak psiak, nieledwie, że kurz zlizywać chciał pod ich stopami...

Kiedyśmy raz mieli w sztabie sprawę o tytoń (wtedy nikt nie zdradził) — otrzymaliśmy 4 godziny karnego apelu. Po odbyciu tej kary (pozbawiono nas też w tym dniu obiadu i kolacji) — chcieliśmy się co prędzej kłaść do snu, żeby choć trochę się zagrzać i wypocząć. Nagle wszedł nasz starszy z SS-manem i stojąc w progu, mówił mu coś o nas. Kto rozumiał po niemiecku, słuchał pilnie, ale szeptać baliśmy się. Ja nie rozumiałem z tego nic. Nagle najbliższy mój sąsiad zaszeptał konwulsyjnie:

— O tobie! O tobie... że nie znosisz ich łask!... Ciebie... — W tej chwili padł mój numer. Podszedłem.

SS-man, bardzo uśmiechnięty, ironiczny spytał po polsku:

— To musi być z pana wielki pan, jeśli nie znosisz niemieckiej łaski, co?...

Starszy sztabu krzywił usta i potakiwał: „Właśnie. Wielki pan!”. Wtedy Niemiec — spokojnie:

Polak, Niemiec, Pogarda,
Pycha, Służalczość,
Przemoc

— No, to jak nie lubisz łaski, to może wolisz kary?... Mogę ci zrobić tę przyjemność i przedstawię cię. Jutro coś dostaniesz zamiast łaski.

Byłem spokojny. Już byłem mocno zaziębiony, chory, nie sypiałem, dolegało serce. Nie liczyłem na życie. Tak, czy inaczej?

Spojrzałem na starszego sztuby z myślą, że zapewne zakosztuję ciemnicy lub słupka. Niemiec, dotąd spokojny, rozwścieczył się, gdy odwróciłem odeń oczy. Zaczął ryczeć coś po niemiecku (potem powiedziano mi, że właśnie o to mu szło), szarpnął mnie za kołnierz, pchnął tak jakoś, że rzucił na twarz o podłogę, no i oczywiście — walił butami. Tu już sobie ulżył i wtedy najpewniej pomaździł mi moją nieszczęsną nerkę. Zresztą starszy sztuby wtedy nie bił. Nie było potrzeby! Robota była zrobiona dobrze, podług zasad „kultury”.

Rano odnieśli mnie koledzy do izby chorych i to wybawiło mnie zapewne od regulaminowej kary. Chorowałem prawie trzy tygodnie, gorączkowałem, plulem krwią, miałem rozstrój wszystkich normalnych funkcji. Gorączka osłabiła moją wrażliwość na potworności tzw. opieki lekarskiej.

XI

Zwalnianie z obozu należy zasadniczo do zjawisk rzadkich. Właściwie najczęściej zwalnia protekcją, a potem łapówka umiejętnie dana przez rodzinę więźnia pośrednikom, uprawiającym ten proceder zarobkowo. Zresztą i to prowadzi do praktycznego zwolnienia człowieka zaledwie w pewnym odsetku wypadków, uskutecznionej łapówki, gdyż inaczej nie byłby to tak dochodowy proceder i nie prowadziłby do powstawania majątków.

Poza tym zwalniali z Oświęcimia niekiedy ludzi zupełnie złamanych i stojących nad grobem. Może liczą na to, że tacy posieją prawdziwą grozę (bo przecież nie ze względu na humanitaryzm!). W obozie na tle zwolnienia Niemcy lubią dodatkowo dręczyć więźniów. Pewnego kolegę wezwano w niezwyklej porze (wieczornej) do kancelarii, gdzie zadano mu jakieś pytania, których celu nie rozumiał. Powracając, spytał dozorcę, co to mogłoby oznaczać. „A będziesz jutro rozstrzelany!” — oznajmił sadysta. Tymczasem więzień ten został następnego dnia wypuszczony z obozu. Jak reagują więźniowie na samą myśl o ewentualnym zwolnieniu, może powiedzieć taki fakt: grupę więźniów zawołano w pewnym dniu do kancelarii i kazano na rano przygotować się do wyjścia. Otóż jeden z tej grupy zmarł tej nocy ze wzruszenia. Przed zwolnieniem ogląda nas komisja, która dba o to, by nie wypuścić ludzi z otwartymi, widocznymi ranami twarzy, szyi lub rąk. Więźniowie wiedzą już też, że na pytanie, jak się czują, muszą odpowiedzieć natychmiast, że bardzo dobrze; poskarżenie się na jakąś dolegliwość chorobową niejednemu z więźniów przekreśliło zwolnienie, przynajmniej na jakiś czas. Więc ruiny ludzkie o zaawansowanej gruźlicy, zniszczonych nerwach, pokruszonych nerkach i często dogorywających sercach dźwigają się wysiłkiem woli, by udać zdrowych!

Przed zwolnieniem więzień musi wysłuchać pouczenia komendanta obozu i podpisać deklarację, złożoną z następujących punktów: że po powrocie do domu nikomu nie opowie o stosunkach w obozie; że czuje się zdrowy; że nigdy nie wystąpi przeciw Rzeszy; że nigdy nie zaniedba donieść władzom niemieckim o wszelkich knowaniach, o jakich się tylko dowie. Przy zwalnianiu oddają więźniowi jego własną bieliznę i ubranie (to ostatnie — odprasowane!...). Poza tym rzeczy lub pieniądze, jakie złożył do depozytu. Wspominałem też już o „wałówce”¹⁴ wydawanej na drogę. To chyba wszystko!...

*

Nie napisałem tego wszystkiego, com chciał napisać... Jest to chaotyczne, pisane bez systemu, urywkami. Ale tu zadecydował mój stan zdrowia, a raczej szybki rozwój choroby. Szybszy, niż spodziewał się lekarz, nie mówiąc już o rodzicach...

Bez znaczenia jest, że ja umrę. Będzie żyło wielu, wielu oświęcimiaków. Kto wyżyje — większość! — do wszystkiego się jeszcze nada. Będą z tych szeregów jeszcze i żołnierze polscy.

¹⁴wałówka — pożywienie na drogę. [przypis edytorski]

*

Zostało mi może tylko parę dni życia. Już nie piszę, nie niepokoję rodziców... Leżę spokojnie, jem, śpię, słucham kochanych etiud Szopena, proszę o nie matkę. Matka płacze, ale gra...

O, bardzo dobrze jest umierać w domu...

Tylko, że — wiem — w ostatniej chwili staną i oni przy moim łóżku. Moi towarzysze, przyjaciele z mojej sztuby...

*

Chciałem przedstawić Oświęcim, przekrój zbiorowego polskiego męczeństwa. Wiedzieliśmy, już tam siedząc, że liczniejsze tysiące Polaków, których ominął Oświęcim, zostały poddane przez Niemców masowym wysiedleniom, wyrzuceniu z całego mienia i dobytku, krwawym pacyfikacjom po wsiach i miastach, zaś Żydzi — zamykaniu w gettach, specyficznej poniewierce, no i w szeregu miejscowości masowemu wyżynaniu... Mam tę pełną świadomość, że martyrologia zbiorowa naszego narodu szersza jest niż Oświęcim i w ogóle obozy koncentracyjne. A jednak naród nasz przetrwa wszystko, bo ma wolę przetrwania.

*

Wspaniały chłopak, drogi towarzysz, Jacek — zasługiwałby po śmierci na jakiś uroczysty wspominek... Cóż, kiedy nie potrafię używać górnolotnych słów!... Opisałem fakt i zdaje mi się, że ten fakt przemówi o nim. Twierdzą też, że tego chłopca nie zmógłby obóz, żadne trudności ani prześladowania, gdyby go wprost nie zatłukli. Jacek był silnego ducha. Miał wiarę w nasz naród, pragnął i czekał wolnej Polski, więc byłby przetrzymał...

To więc mogę powtórzyć z naciskiem: przetrzymać może najstraszniejsze warunki obozu nie najzdrowszy fizycznie (choć oczywiście to jest ważna rzecz), ale przede wszystkim — silny i odporny psychicznie, moralnie. Dużo takich silnych, nie do złamania chodzi po tym obozie. Przeważnie są milczący, skupieni w sobie, czasem nawet trochę skryci, mają wolę utkwioną w to jedno: przetrwać!... To są charaktery. U nas, w Polsce, jak widać, dość rozpowszechnione zjawisko. Przetrzymają, jeśli nie wpakują im kuli w łeb, jeśli obcasem nie wykruszą nerek.

Nie ma powodu do zwątpień, do załamania i depresji. Naród nasz jest mocny. Coraz bardziej też rozpowszechnia się już przekonanie — i tego właśnie uczy Oświęcim — że bierność i tchórzostwo od Niemców nie chronią. W obozach poginęły setki, może tysiące ludzi, którzy nie mieli nic wspólnego z żadną akcją polityczną, z żadnym działaniem przeciw Niemcom. W stosunku np. do małych miast i miasteczek polskich stosowano nieraz taką metodę: wywiezienie do obozu miejscowych lekarzy, dentystów, inżynierów, księży, nauczycieli — w ogóle inteligencji. W stosunku do majątków w zachodniej dzielnicy Polski użyto metody wyrywania i wywożenia do niemieckich obozów — wszystkich właścicieli ziemskich. I w pierwszym, i w drugim wypadku bywali to przeważnie ludzie obcy polityce, zajęci zawodową, zarobkową pracą lub majątkiem. Ta bierność polityczna nie obroniła ich. Tym mniej broni tchórzostwo. Zresztą tchórzostwo — jakże to przyjemnie stwierdzić! — nie leży jednak na ogół w polskiej naturze... Tysiące ludzi, którzy wypełniali Oświęcim na rok mego tam siedzenia — nie, to nie byli tchórze! Nie płaszczyli się, nie skamłali, nie ponizali, jak to powiedział Jacek. Tchórze, donosiciele, szuje — to były jednostki.

Zdaje się, że w końcu wypisałem to wszystko, czego mi jeszcze brakło. Umieram dobrej myśli. Z wielką uciechą konstatuję teraz: nie złamali i mnie!... Bynajmniej! Ani na chwilę. Muszę umrzeć, jak Jacek, z mechanicznych powodów: ta nerka!

Ale będą żyli inni, przetrwa naród, powstanie Polska! Polska, której straszne cierpienia pod butem hitlerowskim sprawiły już, że się stanie teraz bastionem, opoką, twierdzą w walce przeciw wszelkim zakusom naśladowania Niemców, przeciw wszelkiemu totalizmowi, ciemnieniu i poniewieraniu człowieka... Powrócimy do najpiękniejszych z naszych tradycji...

Będzie Polska!

UWAGA WYDAWCY

Pamiętnik ten powielony został w bardzo niewielkiej ilości egzemplarzy. Dlatego też żaden egzemplarz nie powinien być zniszczony przez jakieś tchórzliwe ręce. Niech każdy zeszyt obiega dziesiątki i setki czytelników, niech krąży aż do zupełnego zniszczenia, pełniąc swe zadanie w służbie polskiej informacji.

Przekazuj go dalej tylko ludziom całkowicie pewnym, ale zarazem takim, którzy zobowiążą się puścić pamiętnik dalej.

Kopr¹⁵.

Kwiecień 1942 r.

¹⁵Kopr. — swoisty skrót od: Komisja propagandy; pamiętnik został wydany w Warszawie przez Wydawnictwo Komisji Propagandy Biura Informacji i Propagandy KG AK. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/krahelska-oswiecim-pamietnik-wieznia/>

Tekst opracowany na podstawie: Halina Krahelska, Oświęcim, pamiętnik więźnia, Kopr. [Komisja Propagandy Biura Informacji i Propagandy KG AK], Warszawa 1942.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową w Warszawie z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Biblioteki.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec-Gryz, Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-6866-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.